

... Ewa wzywa 07...



Helena Sekuła

NOC BLISKIEGO KSIĘŻYCA



Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Helena Sekuła

NOC BLISKIEGO KSIĘŻYCA



Przekroczył próg, zawarła się furka. Trzask rygła za dębowymi drzwiami wsiąkł w zgiełk ulicy, agresywnej, osaczającej hałasem, spalinami zagęszczonymi w nieruchomym powietrzu, rozpalonym asfaltem.

Odwykłem, pomyślał, odwykłem.

Spostrzegł, że nieświadomie cofnął się i prawie dotyka plecami muru z czerwonej cegły. Ruszył przed siebie, wmieszał się między ludzi śpieszących zacięną stroną chodnika. Przypominali statystów, którzy zeszedli z planu filmowego i nie zdejmując kostiumów niecierpliwym tłumem podążali na obiad. Supermeni w bluzach z obszernymi rękawami, w gęstwinie patek, pasów, lśniących napów, w ostrych kolorach zestawionych kontrastowo, jakby wyskoczyli wprost z komiksów o istotach z kosmosu, sunęli sportowcy w opiętych dresach i treningowych pantoflach, maszerowały kopie Robin Hooda w sajanach o poszerzonych ramionach jeszcze bardziej podkreślonych pikowanymi wałkami umieszczonymi na szwach, w barwnych, krótkich botach o wydłużonych noskach.

Pod gardło podpełził lęk. Przechodnie naprawdę tak wyglądają, czy tylko on ich tak widzi w nagłym ataku umysłowej dewiacji. Niezamierzony skutek symulowania? Przecież jednak nigdy nie udawał wariata, pozorował tylko depresję.

Zmieniła się moda. Zrozumiał to spoglądając na swoje oliwkowe drelichy od Woolworth'a z Londynu i buty z cholewkami do pół łydki ze ściemnianego juchtu. Gdy brali go za mury, szyk stanowiły ubrania w stylu militarnym. Młodzi mężczyźni na warszawskiej ulicy przypominali południowoamerykańskich partyzantów na przepustce. Przez miasta Europy maszerowały żołnierskie trzewiki i mundurowe trence.

To tylko przeminął pewien odzieżowy trend, odetchnął. Jednak pozostał cień niepokoju. Może odosobnienie nie minęło bezkarnie, pozostawiło jakiś zmiany osobowości.

— Średnia statystyczna pięć lat — mówił Medyk.

— Później już każdy szajbus? — niepokoił się Szambelan.

Nie każdy. Granice odporności psychicznej nie kształtowały się wyraźnie i jednakowo u wszystkich. Niektórzy przetrzymywali w zdrowiu i dziecięć lat, innych kruszyło po dwóch, trzech, zdarzało się po roku, a nawet mniej.

— Trzeba mieć ideę, cel — tłumaczył Medyk.

— Kobita i pieczona gęś — Szambelan miał cel. Był spokojny o swoją równowagę umysłową. Gdy tylko znajdzie się za furką, zamknie z dziewczyną i nie opuści domu co najmniej przez tydzień, najpierw zadbawszy o zapas jedzenia, picia i największą gęś, jaką znajdzie na targu, a najlepiej dwie, bo jak powiada porzekadło ptak jest to podły, jednego na obiad mężczyźnie za mało, dwa za dużo.

— Wyjść stąd — zasłonił się Łukasz.

— A ciebie, Alkor, co podpira? — badał Medyk.

Milczał. Nie naciskali. Każdy ma prawo do prywatności. Nawet Szambelan tak myślał. Alkor nie wierzył w myślenie Szambelana, uważał go za bryłę mięśni o sile wołu obdarzoną sprytem, która dawała im poczucie bezpieczeństwa pośród dwudziestu w celi. Rządził tu Szambelan, a oni wszyscy się poddawali. Większość kochała siłę, a kto słabszy, tym bardziej jej pragnął, tym bardziej służył, tym bardziej ulegał.

Medyk także miał cel. Musiał okaleczyć Bojka. Omal go nie zabił, za co dostał pięć lat, ale musiał, gdy tylko wyjdzie, naznaczyć Bojka, żeby tamten całe życie pamiętał, żeby cierpiał do końca swoich dni, albowiem doszedł do wniosku po tysiącu nocy spędzonych pod celą, że nagła śmierć byłaby dla Bojka zbyt łatwym wyjściem, wręcz wykręceniem się sianem.

— *Overkill* — nazywał to, co musiał uczynić Bojkowi. Za pomocą określenia rodem z pracowni naukowej unikał dosłowności rozumiałej dla wszystkich, aby nie ułatwiać życia Kabłowi.

Wtedy już wiedzieli, kto nadaje. Łukasz kategorycznie sprzeciwił się zdemaskowaniu Stuka i wydaniu na pastwę dwudziestu chłopów żyjących w ciasnym pomieszczeniu.

Co dawało ujawnienie kapusia? Żenujący widok skamłającego, smarkającego, pełzającego człokkształta. A mogliby utracić wszystko. Posypałyby się kary, dochodzenia, parcelacja i nieuchronnie rozerwano by ich przymierze. W najlepszym wypadku dostaliby nową Kapustę, czyli Kalafiora, czyli śmierdziela, którego być może długo przyszłoby namierzać, bo mógłby okazać się inteligentniejszy, sprytniejszy niż ten ich dwulatek. Biedna, zarzygana sierota. Albowiem Śmierdziel, Skunks, vel Kabel jest związany z murami jak gryzonic, pozostaje z nimi w wiecznej symbiozie i odradza się wciąż niczym jemiola na lipie. Więc lepiej znać swojego Stuka. I przede wszystkim Medyk dla niego wymyślił ów *overkill*.

— Wypuścisz z Bojka jaja — upewniał się szczerem Szambelan, przyswajając eleganckie określenie zabiegu, jaki niejednokrotnie sam wykonywał na prosiakach, jeśli chciał wyhodować je na tuczniaki.

Łukasz bez wyjaśnień rozumiał, że *overkill* w terminologii naukowej oznacza wytepienie życia, wysterylizowanie ziemi, globu, czy to na skutek katastrofy nuklearnej, czy zachwiania równowagi biologicznej — co w odniesieniu do Bojka sprowadzało się do wytrzebienia.

Postanowienie Medyka ani nie przerażało, ani nawet nie dziwiło, jedynie zastanawiał ten mus odczuwany przez niego. Musiał wykastrować Bojka. Czy Medyk był jeszcze normalny i co to jest norma i gdzie, w jakim punkcie zaczyna się odchylenie? Czy dopiero wtedy, gdy się musi dokonać odrażającego czynu, czy już wówczas, kiedy sama myśl nie wywołuje sprzeciwu, kiedy dopuszcza się możliwość lub uznaje rację, dla jakich należy ów czyn spełnić.

Łukasz przyznawał Medykowi prawo okaleczenia Bojka bez żadnych wewnętrznych oporów. I nie wydawało się nienormalne, że student medycyny postanowił wytrzebić Bojka, któremu już połamał kości, niepokoił jedynie ten mus. I Łukasz, Alkor, a nawet Szambelan dzień po dniu badali siebie, czy już czegoś nie muszą.

O czym też znowu myśli! — Alkor ocknął się pośród obcego tłumu, wydającego się mniej

obcym, odkąd minęło zaskoczenie bardzo odmienioną modą. O czym myśli. Jest wolny! — dopiero zaczął wydobywać się z oszołomienia. Do teraz tkwił jakby w zawieszaniu między otwarciem a zamknięciem się za nim staroświeckiej furty z litej dębiny i nie doznawał niczego poza porażeniem hałasem, od jakiego odwykł.

Wolność! Smakował słowo, wolność. Dopiero odczuł radość. Naprzód! Trzeba wy dostać się z miasta, którego nie poznał i z pewnością nigdy nie pozna.

Wolność?! Zaledwie jej początek, szansa. Najpierw musi wykonać, co obmyślił przez blisko dwa i pół tysiąca dni i nocy za murami, aby móc korzystać ze wszystkiego, za co oddał siedem lat życia.

Wyczekał się na postoju taksówek wyczulony na każdego, kto bodaj zatrzymał na nim wzrok. Mogli go śledzić. Wciąż przecież odnajdowali różne sprawy jego i nie jego, i chcieli dopasować, powiązać, ale przecież rozumiał, czego szukają. Bilans im się nie zgadzał, chociaż nie o wszystkim wiedzieli, albo nie dysponowali dowodami.

Wysiadł przed pocztą główną.

Zmożona zaduchem i zmęczeniem dziewczyna zza okienka niemrawo gmerała w podłużnym kontenerze z przesyłkami na poste restante. Czyżby zawiadli go na samym wstępie? Pozostawili samemu sobie ze skromną sumą otrzymaną w kancelarii więzienia, zanim przekroczył dębową furtę. Część zarobków z siedmiu lat pracy za murami.

Tak mogli postąpić w jednym, jedynym wypadku. Jeśli trafili w miejsce ukrycia wartości. A to wydawało się nieprawdopodobne.

Ze wzrastającym napięciem wpatrywał się w długie poznokkie urzędniczki ścickające czerwienią lakieru między koperty, karty, przekazy, śledził utkane pierścionkami, ruchliwe palce. Jest. Ręka jak gdyby ćwicząca na niezwykłych manualach wydobyła korespondencję, podsunęła przekaz telegraficzny, wzięła i zwróciła dowód, odebrała pokwitowanie i odliczyła czterdzieści tysięcy.

Lakoniczny adres: poczta główna w Warszawie i ani słowa więcej. Poczekał, aż strzępki podartej ćwiartki papieru ze zdaniem odbitym gumową czcionką ręcznej drukarki splucze woda w muszli, dopiero wyszedł z toalety.

Co dalej? Najpierw kupi ubranie. Nie wyróżniać się. Nie będzie obnosił niemodnego drelichu w czerwcowy upał, drelichu łatwego do identyfi-

kacji, dopóki zachowa się z niego chociaż kawałek podszewki. Przez siedem lat przeleżał w więziennej szatni i po wewnętrznej stronie trenca miał pieczęć średniej wielkości spodeczka, odcisniętą w niezmywalnym tuszu z czytelnym napisem: *Zakład karny w Jelcach Olskich*.

W państwowym sklepie zwisały z wieszaków smętne kapoty, prawie takie same jak sprzed jego pójścia za mury. Pośród innych, zbliżonych krojem do widzianych na przechodniach, nie znalazł dla siebie właściwego rozmiaru.

Stracił dużo czasu, zanim w prywatnych sklepach z gotową konfekcją, co drugi mienił się butikiem, wyszukał odpowiednią bluzę, spodnie z żaglowego płótna i podoczną torbę. Wydał ponad połowę sumy podjętej na poczcie, więc zrezygnował ze sportowych pantofli obuwających większość stóp widzianych w mieście. W butikach kosztowały drogo, w uspołecznionym handlu brakowało. Zresztą wolał mieć swoje zaprzeszłe juchty na nogach niż w paczce. Teraz przynajmniej zrozumiał, jak skąpej pożyczki udzielili mu kamraci.

Już płacąc za taksówkę zauważył anemię złotego. Jednak dopiero robiąc zakupy w pełni zdał sobie sprawę z ciężaru inflacji, chociaż przecież niby wiedział z gazet i doniesień telewizji, bo już nie z cen w więziennej kantine, która nędzniała w oczach, aż ustabilizowała się na poziomie herbatników, słonych paluszków rozsypujących się przy dotknięciu jakby je upieczono z trocin, oraz cytrynady przypominającej smakiem rozwodniony tusz kreślarski może nawet i żółtego koloru.

Niebawem przekonał się, że marża i jakość produktów w bufecie za murem nie została wymierzona li tylko przeciw więźniom. Tutaj w lokalu z zadaniem do wysokiej kategorii, kelner miał więcej tłustych plam na klapach smokingu, niż pływało oczek w zupie, do kawałka mięsa z karty pod tytułem befsztyk z polędwicy a'la książę Radziwiłł przydałoby się szkło powiększające, do tego podano szklanek piątej wody po kompocie i któryś z kolei napar na fusach kawowych. Rachunek wyniósł dziewięćset złotych.

Z goryczą pomyślał o obecnej wartości dwóch milionów, jakie przed dziesięciu laty ulokował na hasło w Pekao. Dobrze. Rzucił je do podziału. Przejrzył się swoim butom z wysokimi cholewkami i poszedł szukać schroniska Caritasu.

Nie należy do ubogich, za wszystko zapłaci. Dopiero wyszedł z więzienia, ma pieniądze, lecz

nie stać go na ceny w mieście. Potrzebuje prysznicza i gotowanego jedzenia, powiedział do milczącej zakonnicy. Umyty i przebrany otrzymał miskę grochówki i porcję pierogów z serem. Obiad kosztował osiemdziesiąt złotych, za kąpiel zapłacił co łaska.

W Warszawie na poczcie głównej oczekiwał list jeszcze powściągliwszy. Zawierał wyłącznie sześć cyfr.

Wszedł do rozmównicy, po drugiej stronie długo zawodził sygnał, zniecierpliwiony bezwiednie skrecał w tulejkę papier z numerem telefonu. Może został błędnie podany lub coś się poplątało Medykowi, który wyszedł na wolność wcześniej i doręczył Hefowi gryps ze wskazówkami od Alkora. Według tej instrukcji, Hef powinien teraz warować przy aparacie, którego numer pozostawił na poste restante.

— Słucham — odezwał się wreszcie zdyszany kobiecie głos.

Zapytał o lokatora, odruchowo wsadził zmięty papier do kieszeni. Tak, potwierdziła kobieta, oczekuje pana, kamieniem siedzi, tylko w tej chwili nie może podejść. Dlaczego, dlaczego! W kłopotach siedzi, za zaproszeniem.

Kiedy pełen wahań i podejrzeń przybył pod podany przez kobietę adres, Hef znowu siedział w kłopotach, Alkor się wściekał, pani bawiła go rozmową. Ubolewała nad lekkomyślnością lokatora, którego przestrzegala przed zasadzkami warszawskiej gastronomii.

— Nie daj Bóg, mógł złapać salmonelle albo jakiego ajcza — tak brzmiała w jej wymowie nazwa siejącej groźbę choroby. — Od małp się wzięła, a czarni ją roznoszą. Odkąd się ta nowa wenera ujawniła ni czarneckich, ni szeków na kwatery nie biorę, żeby mnie nawet afrykanerami inkrustowali, zresztą złoto teraz nie w cenie, dzisiaj kurs na angielskiej giełdzie po trzysta sześćdziesiąt salaty za uncję, a w naszych bankach zawsze płacą mniej, widać mają trudności ze słuchaniem radia, pewno im zagłuszają w tym temacie! Ale jeśli pan coś ma, możemy pogadać. Dzisiaj płacę pięć punktów wyżej niż na sity w Londynie. Aha! Łazienka i kłopot jest na korytarzu na lewo, zawsze pali się nad drzwiami zielona lampka.

W tle pojawił się mężczyzna i kobieta wycofała się z pokoju zamykając za sobą drzwi. Tylko dlatego Alkor zorientował się, że nadszedł Hef.

Nie poznał człowieka, którego przezwiał Hefajstem. Z tego imienia Płowy i reszta ukuli skrót z pierwszych trzech liter, bo nieporęcznie im brzmiała ta przydługa, dziwaczna ksywa, co do której byli pewni, że wymyślił ją szef, bo nie nie wiedzieli o kulawym kowalu, starym bogu Greków i nie byli nikogo takiego ciekawi.

— Zmieniłem się — pokiwał głową Hef. — Stuknęła pięćdziesiątka, już dla mnie z górki, szefie — miał obrzękłą twarz, podpuchnięte worki pod oczyma, rozdęty nos.

— Za dużo tłustych zakąsek.

— Coś z tego życia trzeba mieć — mruknął Hef. — Ale ty wyglądasz, jakby nie przeszło nad tobą siedem lat.

— Oczywiście w pierdłu odmładzają, nie wiedziałeś? Mów, skąd wzięłeś tę hawirę — spostrzegł, że wtrąca określenia z wyciennego słownictwa. Nie zmieni skóry i pewno nigdy nie uda się zapomnieć, ale musi ocalić poprawny język i jak nigdy wyczulił się jego słuch na narzecze subkultury podmiejskiej, jakim posługiwał się Hef.

— Jak kazałeś.

Niewiele się zmieniło w tych sprawach od czasów sprzed siedmiu lat. Nadal jedni zgłaszali kwatery do biura wynajmu, inni przed biurem polowali na klientów. Od gości bez meldowania, podobnie jak od cudzoziemców, opłatę pobierano w dolarach.

— Za jedzenie ona też liczy w papierze.

Alkor domyślił się znaczenia. Podczas jego nieobecności papier, sałata — zastąpiły zielone.

— Tutaj kolacji nie kazałem, wzięłem z domu pieczone mięso i węgierskie salami, i różne inne niekiepskie rzeczy. Mam też uciwiwą flaszkę, żeby oblać twój powrót.

— Na co czekasz, dawaj tę butelkę.

— Wypada zawołać Płowego. W grypsie nie wspominałeś, brać go czy nie, więc kazałem przyjść, żeby czego nie pomyślał, niekoleżeńsko tak bez niego — płątał się Hef, unikając oczu Alkora.

— Dlaczego nie czekaliście razem?

— Bezpieczniej schodzić się pojedynczo. I myślałem, może masz co do powiedzenia na osobności.

— Wołaj Płowego.

Hef uchylił okno zasnutę od zewnątrz kratą w kształcie pajęczej sieci, gwizdnął, odpowiedział stłumiony świst. Hef podniósł słuchawkę domowego aparatu.

— Mecenasowa, przyszedł nasz trzeci.

Nad wejściem domu rozbłysło światło, wzdłuż ścieżki zakwitły kolorowe lampiony, chociaż czerwcowy odwieczerz opornie poddawał się ciemności, srebrzyste świerki i wysoko podciągnięte tuje rozsnuwały mrok, trawnik wydawał się czarny. Zaszemrał automat otwierający furtkę, w chwilę później podobny odgłos dał znać o odblokowaniu wejścia. Nie było słyhać, aby ktoś stąpał po korytarzu. Płowy bezgłośnie wśliznął się do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

— Witam, szefie! — cały obleczony w szarą skórę. Z torby obciążającej ramię wydobyl butelki owinięte w papier z firmowym nadrukiem Pewexu. — Karta wstępu! — rozwinął z opakowania drogie koniaki w obłych, pękatych flaszkach i graniastą szkota.

Hef sięgnął do kąta po kosz zamykany kłapami po obu stronach pałaka.

— Cieszę się, że pana widzę, szefie!

— Rozgość się.

— Gorąco — Płowy ściągnął sajan z zamszu cienkiego jak jedwab i odrzucił za siebie na kanapę. Podsunął Alkorowi paczkę cameli, następnie wytrząsnął sobie papirusa wprost do ust, podał ogień, przypalił, schował zapalniczkę, na przegubie chybotęło japońskie seiko spięte bransoletką z rodowanego srebra. Obciągnął koszulkę z popielatego trykotu. Podkreślała zarys mocnej klatki piersiowej i wężły mięśni na ramionach.

Teraz dobiega trzydziestki, pomyślał o nim Alkor, tyle liczyłem idąc za mury. Miał trzydzieści siedem lat, poczuł się stary. A ten tutaj odgrywał przed nim światowca. Zachowanie Płowego Alkor skądś znał, lecz nie pamiętał skąd.

— Proszę skorupiaki, szwedzki półmisek i parówki na gorąco — posłużył się Płowy słuchawką wewnętrznego telefonu. Postępował ze swobodą człowieka obeznanego z obyczajami domu.

— Będziesz płacił — mruknął Hef.

— Będę, ty sknero. Odstaw te jajka na twardo, zaoszczędzisz na wkiend ze swoją starą — zrobił ruch, jakby chciał sięgnąć do kosza, skąd Hef właśnie wyciągał butelkę. Szło mu to niemrawo, jakby nie mógł się z nią rozstać.

— Muszę wziąć prysznic, inaczej zasnę — podniósł się Alkor.

Mrok w korytarzu ledwo rozrzedzała zielono mżaka lampka nad drzwiami łazienki. Niżej, za ażurową przegrodą oddzielającą prywatną część mieszkania, gorzały czerwienią cztery punkty. Obracały się za nim krwawe błyski z ręciovym

popłaskiem, osadzone w jeszcze głębszej jakby zbitej w masę ciemności. Jakież niesamowite czujniki? Poczł się nieswojo.

Wreszcie rozpoznał. W zupełnej ciszy śledziły go dwie pary psich oczu, dwa czarne dogi leżały nieruchomo podobne odlewom z takiego samego metalu jak krata zamykająca przejście do położonych w głębi pomieszczeń.

— Czekali na niego przy zastawionym stole.

— W twoje ręce, szefie! — podniósł się Hef, wyglądał na wzruszonego. Widok pełnej butelki zawsze przyprawiał Hefa o rozrzewnienie.

Szkot sparzył przelyk błyskawicą przebiegł po ciele, eksplodował pod czaszką. Przez siedem lat nie miał w ustach alkoholu. Odwykłem, pomyślał, od wielu rzeczy odwykłem. Nie wolno się upić. Drugi kieliszek zabrał zmęczenie, zapalił w głowie łagodne światło, wyostrzył zmysły. Widział, jak tamci dwaj wymieniają między sobą spojrzenia, widział, jak pod hałaśliwą radością kipią zniecierpliwieniem, bo nie po to przyszli i stawiali mu drogi alkohol, aby pić jego zdrowie, tylko nareszcie dobrać się do pieniędzy. Nie, niczego im nie ułatwi, ciekaw, który z nich nie wytrzyma pierwszy.

— A teraz ad rem — Płowy wytrząsnął papierosa z paczki tym swoim nonszalanckim gestem wprost do ust. Przypalił, wyciągnął się w fotelu i powoli wychnął dym.

Hef zachłannie przeknął alkohol. Alkor pod ożywym wpływem oszczędnie sączonej whisky rozpoznał w Płowym siebie, siebie sprzed siedmiu lat. Nie. Nie mógł się pogodzić. Tandetne naśladownictwo przez prymitywa z tombakowym polem, cieńszym niż zamsz, w jaki jest opięty. Jedyne co potrafi, to kraść samochody.

— Żenię się, Alkor — powiedział Płowy patrząc ponad głowę szefa.

— Szczęść Boże — założę się, że ten prostak nie ma pojęcia, co oznacza moje nazwisko. Sam długo nie wiedział. Nosił imię gwiazdy. Zawierało coś z talizmanu, dobrej wróżby, szczęścia. Przesądny w pogodne noce spoglądał na swego patrona, zawieszzonego nad dyszlem Wielkiej Niedźwiedzicy, i wypowiadał prośbę lub podziękowanie. Teraz usłyszał własny głos, jakby mówił do owej gwiazdy i pochwyił zdumione spojrzenia. Zdaje się, nie jestem zupełnie trzeźwy — pomyślał. Może i lepiej, łatwiej przyjdzie rozegrać pierwszą rundę.

— Szefie, potrzebuję pieniędzy.

— Nie widać, żeby ci się źle powodziło.

— To już nie szefa rzecz. Chcę moją działkę, chcę zabrać, co mnie się należy i to jest bardzo pilne, żenię się.

— Na razie jest tylko dwa miliony w Pekao na hasło. Jutro możemy je mieć.

— To kiepski żart, szefie. Bardzo kiepski żart i on mnie wcale nie śmieszy. Ja się nie dam wykiwać. Przez czas, co szef garował, ja się czegoś poduczylem — w głosie brzmiała złość i groźba.

— Uspokój się, Płowy, Alkor nas nie skrzywdzi, on jeszcze dokładnie nie wie, jak się pieniądze wyrzuciły.

— Kilo szynki z przedniej nogi kosztuje u rzemieślników tysiąc czterysta — pośpieszył oświecić szefa Płowy.

— To nie będziesz jadł szynki tylko salceson.

— Ty, Płowy, nie robi się szynki ze świńskiej rapy, tylko z łopatki albo z kumpa — Hef usiłował rozładować atmosferę.

— Niechaj szef się zastanowi, co mówi, nas jest tu dwóch, my jesteśmy silniejsze.

— Na razie ja jestem mocniejszy, bo pieniądze u mnie. Dostaniesz, co ci się należy, ale zmień ton.

Za takiego garowałem siedem lat, pomyślał. No nie, nie osłaniał ich z altruizmu. Upiłem się trzema kieliszkami, pomyślał. Drażni mnie ten pierwotniach zaszyty w skórę zdartą z jakiegoś zwierzęcia. Nie mógł uwierzyć, że bez przykrości znosił go kilka lat. Zmieniliśmy się obaj. Ustało przymierze, dzieli wspólna kość. Z niego na przesłuchaniu wydusiłoby wszystko jak ikrę z jesiotra, a jeśli nie, pod celą przechwałaby się każdym Pewexem i każdym ukradzionym samochodem.

Pod celą się gada. Wiedział coś o tym, każdy gada, nawet ostatni prymityw. Przychodzi na człowieka taka godzina, dla każdego inna, lecz syndrom murów działa na wszystkich, nawet najwięksi twardziele gadają, i ci przeważnie się chępią. On, Alkor, miał szczęście, znalazł sobie niejako temat zastępczy, i był psychicznie przygotowany, przynajmniej na początek. Więzienie od dawna wliczył w koszt własne. Zaplanowane — stało się mniej straszne, wzięte pod uwagę, oswojone. A jednak się załamał. Najpierw udawał, później naprawdę uległ depresji. Trzeba tam przebywać trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku i tak siedem razy po trzysta sześćdziesiąt pięć, plus lata przestępne, wtedy już się rozumie i nigdy nie powie: rok nie wyrok, dwa lata jak dla brata.

Omylił się w rachubach, nawet nie pomyślał o dziesiątce na wyroku. Powinien skończyć prawo, nie uniwersytecką fizykę, zanim odważył się tknąć Pewexy. Znowu przyłapał się na fałszowaniu przeżytego czasu.

Nieprawda. Biorąc się za owo rzemiosło przerył kodeks karny. Wiedział, czym grozi rabunek mienia państwowego. Ale to była książkowa wiedza. Powodzenie rozzuchwalało, uwierzył w swój geniusz, pycha odebrała rozsądek. A gdzieś tam w milicyjnych rejestrach sumowały się kradzieże, odsłaniały schematy działania, wyodrębniały cechy indywidualne. I padł. Musiał paść. Zadziało prawo liczb.

Dostał się w tryby, o jakich nie miał wyobrażenia.

Przetrzymał. Nie wydał współników. Sam, wszystko sam. Teraz między nimi także sam. Ma ich w rękę, dopóki trzyma pieniądze, z chwilą podziału utraci władzę i nie może liczyć na ich lojalność. Nic nie wiadomo, mogą zechcieć wszystko. To są duże wartości, o znacznie mniejsze ludzie się zagryzali. Pożałował tego spotkania. A czego się po nich spodziewał? No tak, nie mógł narażać Iwy.

— Nie siej grozy, Alkor — prosił Hef. — Przecież też musisz z czegoś żyć i gdzieś mieszkać, a to kosztuje. I pewno masz jakieś plany, które być może, okażą się i naszymi, no nie? A tutaj, u Mecenasowej zapłacone tylko za dobę.

Milczał. Jakby nie do niego kierowano te uprzejme, rozsądne słowa.

— I trzeba było ci się szastać, Płowy? Koniaki, kawiori, tuńczyki! Szef myśli, że nam się Bóg wie, jak wiedzie, a u mnie cienko.

— Nie wzruszaj go swoją nędzą — skrzywił się Płowy. — Nie przejmie się. I bardzo dobrze, bo nie jest to składka na ubogich tylko udział. Każdemu należy się równa część.

— Wyjęto mi siedem lat. Wy żyliście.

— Eee, niewiele straciłeś, tu się kotłowało, niespokojnie było, jedzenia nie było, niczego nie było, gorzała na kartki. Niewiele szefa ominęło, można powiedzieć, spokojnie sobie na państwowym pomieszkał.

— Tylko żałować, że nie ściągnąłem ciebie do tej świetnej kwatery.

— Niechaj szef nie hecuje, nie chciałem urazić. Przecież nie kto inny tylko szef nawijał nam o wliczaniu w kosztą ryzyka zawodu, puszki jako pozycji w rachunku. Może nie tak?

Tak. Odkąd postanowił zdobyć majątek z kra-

dzieży, uwzględnił możliwość więzienia. Stanowił element kalkulacji, jak ceny, nakłady, środki. Miała hartować jego i współników na wszelki wypadek. Lecz uporczywe, bezwstydne szczęście nie opuszczało. Udawał się każdy zamiar. Uwierzył we własne zdolności, doskonałą metodę, zuchwałość, szybkość decyzji, błyskawiczność operacji. Wóz uprowadzony wieczorem do rana musiał być sprzedany paserowi najdalej jak tylko to możliwe od miejsca, skąd pochodził.

Gdyby potrafił wycofać się w porę. Tylko nie przewidział, kiedy miała nastać, co ją powinno zapowiedzieć. Niczym gracz stawiał jeszcze raz i jeszcze jeden jedyny, i jeszcze. Chociaż nie zapominał o zagrożeniu, nie mógł przestać. I wciąż wygrywał. A oni szli za nim z pokorą, zauroczeni jego fartem.

Jakiż był naiwny.

Z perspektywy wiedzy o świecie za murami, doświadczonej i przeżytej, wydawał się żałośnie śmieszny, tamten on, przekonany o wynalezieniu sposobu na strach przed więzieniem, na samo więzienie, na pogrzebanie kilku niewiarygodnie długich lat. Pierdel jest za trudny dla jednostek niezwykłych, zwykłych i byle jakich.

Znowu określenie z tamtego slangu, odczuwane jako degradacja. A niech to diabli! O puszcę nie można mówić poprawnie. Właśnie pudło, sieczkarnia, kić, kibel, buchta i to jest sedno.

— Ryzyko zawodu, popadło na szefa, czy to nasza wina! — pojednawczo rozgadał się Płowy.

— Milczałem, dlatego nie przytrafiło się tobie.

— Nie kłómy się — łagodził Hef. — Wszystko się wyjaśni, wszystko się wyrówna, byle w zgodzie. Lepiej się napijmy.

— Napijmy — usłyszał siebie jak kogoś obcego. Obcy bełkotał. Zalałem się, pomyślał. Dobrze. Gdybym się nie upił, musiałbym się upić, oceniało chytrze jego trzeźwe ja, ukryte w ciele opoja. Dadzą spokój do rana, jestem śmiertelnie zmęczony, chcę spać.

— Gotów?

— Może udaje?

— Odpierrr... — zamruczało nietrzeźwe ja. Tak należy. Natychmiastowy i zupełny brak reakcji mógłby się wydać nienaturalny, pochwaliło to drugie, nietknięte oparami destylatu ze szkockiego jęczmienia czując jak dźwigają go, tylko dlaczego z dywanu o wstrętnej woni syntezy przyprawiającej o mdłości. Nie bardzo był świadom, że oba ja spadły z krzesła jednocześnie.

— Kartka z numerem telefonu Mecenasowej,

okulary słoneczne, chustka do nosa, klucze... chciałbym wiedzieć od czego.

— Wszystkiego się dowiemy, tylko spokojnie, ostrożnie.

W jaki sposób on chce to zrobić, zastanawiała się trzeźwe ja. Przecież żeby wypić jeszcze, nie wiem ile, nie powiem o kluczach do mojego domu, w którym czeka Iwa. Śmierdziele, myślą, wystarczy go napoić, pierwotniaki hołubiące wyobrażenie o lokacie w jednej, jedynej postaci. Papier. Grube nominały salaty. Najlepiej z podobizną Clevelanda, a jeszcze lepiej Madisona. Dużo madisonów. Na drugim miejscu złoto. Ciężki kruszec trudniejszy do spieniężenia, przewiezienia, ukrycia, wywołujący rezonans dedektorów. Afrykanery, czyli krugerrandy, świnki, inaczej mikołajki, od podobizny ostatniego z Romanów i reprints dukatów Marii Teresy. Wszystko pozór, umowa, tylko kruszec się liczy. Niezniszczalny, mało przydatny, wieczny. I jeszcze kamienie. Karaty, czystość, szlif. Na tym trzeba się znać, na tym można stracić, najtrudniejsze do upłynnienia w kraju. Wizja szkatuły pełnej zielonych albo cennego kruszcu, albo szlachetnych minerałów skuteczniej niż najlepsze ukrycie przysłoniła inne wartości.

Trzeźwo myśli jak na nietrzeźwego, pochwalił siebie. Czuł gmerające po kieszeniach ręce. Lekkomyślne, pijane ja, koniecznie chciało oznajmić, czuwa, jest, rozumie, co się dzieje. Pozwala się rewidować.

— Wszystko, nic więcej nie ma. I nie ma się co cackać, wsadzić do piwnicy, wygłodzić, skopać po nabiale. Niech gada.

— Nie w mojej piwnicy, chłopczyku, nie w mojej. On jutro stąd odejdzie zdrowy, cały i na własnych nogach, ze wszystkim co miał przy sobie. Kim ty w ogóle jesteś? Robisz w farbie, twoja sprawa, ale jednocześnie nie możesz być farbiarzem i wielbłądem.

— Baktrianem, Chrzestna, i to pierwszym w karawanie, Chrzestna.

Oni wszyscy się urzęli i gadają od rzeczy. Jedyne on ma wyjątkowo jasny umysł dzięki umiejętności oddzielenia się od zalanego ja. Tylko nie może, a właściwie nie chce wstać. Ale, ale, jak powiedział ten wyporek: w karawanie Chrzestnej? Do czego odnosi się dwuznaczne określenie, do karawany juczych zwierząt czy karawanu przewożącego zwłoki, i kogo nazywa Chrzestną?

Trzeba się stąd wynosić, ale w jaki sposób podnieść się z bezwładu nie do pokonania.

Prędzej trzeźwe ja wyrwie się ze skamieniałego ciała, niż skamieniałe ciało poruszy. Gips, odlew, mówił o ciastkach w kantynie. Łukasz utrzymywał, że pochodzą z epoki dewonu, sfosylizowane jak koralowiec. Teraz on, Alkor, kiedy należało uciekać, leżał sfosylizowany jak koralowiec.

Koralowce.

Borneo. Na Borneo pewna ryba składa ikryę płynąc, aby uciec przed swoim miotem wylęgającym się błyskawicznie, inaczej zostałaby pożarta przez własne dzieci, opowiadał Łukasz. Jego, Alkora, chcą pochłonąć wielbłądy.

— Cicho, coś mówi.

— Bredzi... o rybach. Eeech, wędkarz kijowy. I co się z takim omijać. Przytrzasnąć paluchy, przyłać, jest skończony, puszka zrobiła z niego palanta bez nabrału.

Głosy przybliżyły się i oddalały. Coraz większym wysiłkiem utrzymywał świadomość kurcząca się niczym gasnący płomień.

— Tylko popatrz jaki odporny.

— Coś mu zadał, Hef? — zaniepokoiła się Chrzestna.

— Twojego wyciągu z makuchów, żeby nocą nie przysnął bez przyzwolenia. Musimy wiedzieć, dokąd pójdzie.

Wszystko stawało się już tylko szmerem. Jeszcze raz, zanim zapadł w zupełną nieświadomość, pełnęła zamierzająca przytomność.

Buty!

I fala znajomego strachu. Pewexy. Przeprowadzał rozeznanie, dojazd, rodzaj zabezpieczenia, rozmieszczenie towaru wewnątrz. Trochę odmieniał powierzchowność. Czasami peruka albo okulary, zwykle szkła, bo wzrok miał dobry, zawsze inne ubranie. Niczym nie wyróżniał się spośród przechodniów w ruchliwych miejscach. Później dobierał wariant: dostawa towaru, szafa, szklarze.

Ukradzioną wieczorem furgonetkę lub ciężarówkę okrywali plandeką z firmowymi napisami, podjeżdżali na zaplecze sklepu. Zapalali światło. Bywało, podłączali reflektor, żeby uwidocznić kolorowe, zagraniczne napisy na transporterach-atrapach, budowali z nich piramidę zasłaniającą drzwi. Już po ustawieniu pierwszej warstwy skrywającej przykucniętego Hefa, zanim tekturowe pojemniki urosły do wysokości człowieka, Hef potrafił pokonać kratę, zamki, kłódki. Zabierali najatrakcyjniejsze artykuły, zawozili do umówio-

nego pasera. W drodze powrotnej ukrywali rekwizyty, plandekę i puste kartony, porzucali wóz.

Jeśli tylne wejście było za trudne do sforsowania, wówczas od frontu przy wystawie ustawiali szafę z ruchomą tylną ścianą. Hef ukryty w meblu wygniatał otwór w szybie i drzwi rozbrajał od wewnątrz. Bywało, że pakowali skradzione rzeczy wprost do tej szafy. Alkor podjeżdżał samochodem, błyskawiczny załadunek, operację odmierzał stoper. Tempo, organizacja, szybkość. Do rana pozbyć się towaru, nigdy nie przetrzymywać, lepiej wyrzucić.

— Bury! — powiedział teraz kobiecy głos.

W tych butach został zatrzymany w ukradzionym mercedesie. Miał je na nogach przez czas śledztwa, na rozprawie, później przez siedem lat przeleżały w więziennym depozycie.

— ... dzwońce cholerne, w chodakach do łóżka!

— Nie krzycz, Chrześna.

— Pewnie, nie twoja kanapa, nie ty się na nią zdzierales... Natychmiast zdejmijcie mu cholewy! To nie słomiany siennik wypchany sieczką, tylko porządny, stylowy sprzęt kryty egipską tapiserią, wsiochu!

— Powiedz jej, Hef, niechaj mną nie pomiata. Nie jestem przyzwyczajony do takiego hecowania.

— Patrząc go, hrabia, a jeszcze mu widły z dupy wystają! Ruszaj, bierz się za jego skoki.

Ściągają buty! Alkor poczuł ucisk na goleniu, jednocześnie drugi chwyt obejmujący przyszwę nad obcasem.

— Obejrzyj, czy czegoś tam nie ukrył — dyrygował Hef.

Zabierają buty, zgasła ostatnia myśl.

2

Dziewczyna ze snopem włosów barwy dostającego żyta, zwiniętych w węzeł nad karkiem zsunęła z ramion aksamitną pelerynę. Odrzuciła okrycie, frunęło jak olbrzymi motyl, odsłoniło postać zapiętą pod szyję ze sznurem pereł na piersi. Osypana złotym pyłem blasku wydobyła się ze zwiewnych szyfonów, wdzięcznymi gestami tan-

cerki pozbywała się coraz bardziej skąpych szmatek, aż odrzuciła ostatnią, trójkąt jedwabiu okrywającego pleć. Naga zastygła w bezruchu, profil z gemmy, doskonale proporcje, ciało powleczone perłowym mastyksem, przywodziło na myśl antyczny posąg.

— Moduł. Kanon Polikleta. Takich kobiet nie ma, to złudzenie — powiedział Łukasz do swojej szklanki.

Zgasły światła, tylko na stolikach migotały błędne ognie świec. Nad barem w półmroku rysowały się twarze mężczyzn modelowane z cienia i cynobru, zwrócone ku ciemności sali.

Znowu bursztynowo rozbłysł reflektor, po nim rozjaśniał się szlak mlecznego szkła na ścianie, dziewczyna na powrót ukryta pod aksamitną oponą zstępowała z podium.

A więc ten omam to Iwa, dziewczyna Alkora — Łukasz odprowadził wzrokiem czarny kokon znikający za kotarą. Złodziej i dziwka, pomyślał w przypiływie nagłego rozdrażnienia i poczuł niesmak do siebie. Zawiść. Pozazdrościł człowiekowi, z którym wspierali się przez parę trudnych lat. Słowo przyjaźń wydawało się w tej chwili zbyt wielkie, z patetyczne, nie pasowało do życia w więzieniu, gdzie brak nienawiści już był osiągnięciem.

Pomijając dominację prymitywów, różne szajby, odboje i psychy, oni tam za murami, ci mężczyźni słoczeni na kilkunastu metrach żyli zbyt blisko siebie. Ich przestrzeń osobista, minimum niezbędne jednostce do zachowania równowagi, wciąż podlegała zakłóceniu, stąd też atmosfera w więziennej celi podobna była źle izolowanym stykom.

Z początku trafił nie najgorzej, ale skąd mógł wiedzieć nie mając żadnej skali porównawczej. Dla niego było najgorzej. Koszmar dnia pokrojonego na części, pobudka — mycie — śniadanie i tak dalej. Zaprogramowana doba, dni, lata. I raz na tydzień łaźnia, i raz na miesiąc widzenie, i raz na kilka tygodni paczka.

Nigdy chwili samotności, zawsze fizyczna obecność innych. Najtrudniej znosił tę stałą widownię. Towarzyszy jedzenia, mycia, snu, wydalania. Tortura wspólnej sypialni, ciasno zestawionych piętrowych łóżek, tortura publicznego kibla. Uczucie poniżenia. Jak zachować godność z opuszczonymi spodniami pętającymi nogi i brzuchem przyciśniętym do kolan, targanym skurczami biegunki.

I wieczne pogwarki dozorców więziennych: tu

nie sanatorium, tu nie dom wczasowy, tu nie Riwiera.

A wokół pluskwiały oderwane od żerowisk, bezwzględne i zachłanne. Socjeta gospodarza. Księgowi, rewidenci, komisarze skarbowi, przedstawiciele administracji, importu, eksportu, produkcji takiej, siakiej, owakiej, wszelkiej wielkości łapownicy. *Homo parasitos* ze szczeliny na pograniczu władzy i pieniądza. Żywotny gatunek. Po pierwszym szoku już się urządzał. Zabiegał o prycze przy ścianie, mniej zużyty koc, nowszy drelich, lepszą miskę, z nie mniejszą energią i bezwzględnością, sprytem i serwilizmem niż kiedyś o daczę, samochód, holenderską glazurę, fałszywe antyki, prawdziwe srebra, dywany, zagraniczne delegacje. Wybuchły kłótnie o igłę z nitką, kawałek sznurka, starą krzyżówkę, porcję porannej polewki, plasterek czarnego salcesonu od święta.

Uważali się za lepszych, jak gdyby kanty, niedobory kasowe, fałszerstwa w księgach buchalteryjnych, łapówki, kupowanie faktur, kwitów, spychanie całych partii towarów w ręce handlarzy nobilitowały złodziejstwo.

Teraz wymyślali sobie ordynarnie nie rezygnując z formy pan, nie cierpieli wzajemnie, obmawiali, podlizywali klawiszom, chociaż nicnawidzili tego uosobienia władzy, jaka im odebrała ukradzione majątki, znaczenie, dobrobyt, wtrąciła za mury i mogła zesłać między kryminalnych. Panicznie bali się kryminalnych.

Łukasz naraził się klawiszowi.

Już poznał słabe miejsca dozorców. Na ziemie: „tu nie klub dla inteligentów, skończyło się łatwe życie”, odpowiedział także raniąco. On, Łukasz, jest inżynierem, kiedyś stąd wyjdzie, powróci do rajzbretu, do projektowania nowych domów, dzielnic, miast, a oddziałowy pozostanie i do starości będzie się użerał z mordercą, bandytą, sutenerem, z człekokształtem, psychopatą i śmierdzielem. Bezterminowy skazaniec, uwięziony do kółka z kluczami, pensji, wysługi lat i pozoru władzy.

Ludzie najczęściej znoszą pogardę. Nie mówi się bezkarnie takich słów strażnikowi. Łukasza przeniesiono do innej celi. Dopiero poczuł smak murów. Tutaj rządziła recydywa. Lepszy: napady, ciężkie uszkodzenia ciała, zabójstwa, rozboje.

— Przywitaj się, dolony — powiedział Sprężyna i wyciągnął do niego nogę. Żart wydał się

Łukaszowi tak beznadziejny, że wcale nie zarcał, jak gdyby Sprężyna nie istniał. Przymilny śmiech pochlebców zabrzmiał beznadziejnie i zczepił. Z czego się śmiać, inżynierek zlekceważył Sprężynę. Żeby chociaż go okłamał, ale nie, ominął jak śmiecia. Taki jest głupi, czy taki hardy, bo przecież nie mocny, nawet najbardziej krzepki nie jest silny, jeśli sam. Inżynierek, co nie dorobił się nawet ksywy, miał tylko zwyczajne imię, był beznadziejnie sam.

Przez kilka dni nic się nie wydarzyło.

— Nie twoja kolej, dolony — zepchnął go z kibla Sprężyna. Dopiero się cela obśmiała. Okropnie śmiesznie wyglądał taki Komputer, zapłątany i różnący we własne portugalia.

— Links — sygnalizowała czujka na lipie.

Przez wizjer wejrzało oko. Zaniepokoił widok więźnia zbierającego się z podłogi, oko zmateriałowowało się, na progu wyrósł oddziałowy.

— Co się dzieje? — po kątach tkwiły nicobecne, znudzone lub ziewające twarze, jak porzucone leżały na kolanach beczynne ręce, oczy spoglądały w przestrzeń poza ścianą.

Szambelan meldował stan celi.

— A temu co jest? — przyjrzał się strażnik Łukaszowi.

— Biegunka. Zabrudziłem się, proszę o zezwolenie na prysznic.

Kiedy powrócił w upranych spodniach, a potem rozwiesił je na kaloryferze, zaczęły się niewybredne żarty. Odgrodził się milczeniem. Co im zrobił, dlaczego tępią, za co nicnawidzą? Więcej nie pozwolił się sponiewierać, inaczej znajdzie się najniżej w hierarchii. Już co nieco otarł się o miejscowe obyczaje.

Krzyżowały się pogroźki ślany anonimowo, ordynarne dowcipy wszystkie o tym samym, dotyczące wyłącznie funkcji prokreacji i defekacji, ale głosy niosły nutę nostalgii, brzmiały zwyrodniałym błaganem o szacunek, uwagę, domagały się zainteresowania drugiego człowieka. Łukasz leżał na pryczy i nie chciał dostrzec nikogo. Obrażała ta niemota, obrażał brak ksywy, sznytów, tatuażu, inność, obrażało nawet przyzwolenie klawisza na to leżenie.

— Mnie na doloną sraczkę, takich forów nie dają, doleni — użalił się nad sobą Luluś.

— Zatrzaśnijcie dolone uzębienie, doleni, co jest, dolona ciupa, czy dolony magiel?! — zadudnił Szambelan.

Przycichło. Szambelan, mimo niskiej lokaty: włamania, był kimś, dzięki nieprzeciętnej sile. Nie

wtrącał się do rządów pod cełą, nie zauważał waśni, utarczek, nawet bójek, czasami sprzeciwiał się tylko, gdy napadali kupą, ale Lepsi wiedzieli, nie należy czepiać się Medyka, z którym się przyjaźnił. Zresztą Medyk to prawie doktor. Gdzieś tam tlił się cień respektu wobec lekarza. Poza tym Medyk tylko przypadkiem nie skręcił karku Bojkowi od jednej Lali i, zupełnie niechący, nie wpasował się w najwyższy nagradzany paragraf.

— Co tu jest grane? — zapytał Łukasz Szambelana podczas pracy na torowisku. Robota ciężka, ceniona, poza murami. Nie każdy mógł się dostać do tej brygady. Dobierała wyższa klawiatura, naturalnie z uwzględnieniem głosu oddziało-wego. Nie brano recydywy i wielolatów.

Na swobodnej przestrzeni, pod swobodnym niebem, pośród swobodnych ludzi, chociaż jakby w bani z pleksiglasu, albo innej przezroczystej materii. Istnieli tam, wymieniali podkłady, drążyli wykopy, dokręcali mutry nowych szyn. Dzwoniły zwalniające tramwaje, wokół szumiało miasto, ludzie odwracali od nich oczy, nie dostrzegali albo patrzyli poprzez nich. Daremnie wyglądali spojrzenia przechodnia, uśmiechu kobiety, przełotnej uwagi. Czuli się też przezroczyści, chociaż na więziennych mundurach nosili pomarańczowe kamizelki robotników drogowych, z daleka widoczni jak żuki — grabarze. Więc: co jest grane, pytał Szambelana, przyglądając się zwyczajnemu życiu przez tę niewidoczną szybę.

— Jesteś w turmie, nie w kinie. Albo ty gnoisz, albo ciebie gnoją.

Wieczorem doszło do starcia.

— Ja coś cię, kurwa, nie lubię — powiedział Kosior w nos Łukaszowi i wytrącił z ręki kubek z kawą. Łukasz zaatakował bez słowa. Lewy prosty, prawy, osłona, uskok, sierp, jeszcze jeden sierp, hak i potem już nieczysty cios w brzuch. Kosior był silniejszy, umiał robić mojką, kosą, majchrem, zwalić z nóg, rzucić na parter i skopać, ale w boksie, nawet najbardziej amatorskim, prezentował klasę worka treningowego.

— Póki żyje nie będzie kupy — Szambelan zatrzymał Sprężynę.

Laluś bez oparcia nie odważył się przeciwsta-wić. Zamroczony Kosior brzydko krwawił, pod okiem wykształcała się śliwa. Łukasz nabrał wody w kubek, lunął Kosiorowi w twarz. Tamten otworzył oczy, bluznął przekleństwem, dostał po szczęce, znów się dźwignął i znów bluznął, zafasował kopa i następny chlust wody.

Cela śledziła dwudziestoma parami oczu, jak sobie radzi inżynierek. Cela przyznawała słuszność jemu, bo nie powinno się bezkarnie wylewać kawy człowiekowi, którego nie ogłoszono Nieczystym. Ale zaraz wylazła z inżynierka ta jakaś nienawistna mięczakowatość Komputerów, bo wytarł Kosiorowi gębę, dźwignął go, posadził na pryczy i zagadał:

— Ty idioto, zachowuj się jak człowiek, skoro chodzisz na zadnich łapach.

Wiadomość o bójce Śmierdziel zakablował gdzie trzeba. Kosior dostał obostrzony rygor i Komputer dostał obostrzony rygor. Inżynier dłużej, bo jako wykształcony i na wyższym poziomie powinien oddziaływać, a nie równać do elementu. Jeśli nie oddziaływać, przynajmniej raportować. Tu nie Texas, nie Sycylia i nie Sing-sing, tylko zakład karny numer taki a taki w Jelcach Olskich.

Miał nadzieję przynajmniej na samotność w surowym odosobnieniu. Spotkał go zawód. Było tak samo gęsto jak pod cełą, do tego gołe dechy, okrojona racja, utrata praw do spaceru, pism, książek, telewizji, pracy na wolnej przestrzeni. I na próżno matka jechała świat drogi z dwoma przesiadkami, nie przyjęto paczki, nie dostała widzenia.

— Proszę nie rozpaczać. Jest zdrowy i cały. Przylal jednemu gnojowi, który od dawna się napraszał, tylko co by się działo, gdyby każdy zaczął wymierzać sprawiedliwość. Niech pani nie płacze i będzie dobrej myśli — pocieszał klawisz z dyżurki, nalewając dla niej gorącej herbaty zaparzonej na elektrycznej płytce. (Artykuł ciężki do zdobycia w tamtym czasie, po parę deko stało się w długich kolejkach.) To był taki klawisz, co widział dużo draństwa, nienawiści i cierpienia, a wciąż jeszcze nie mógł patrzeć na krzywdę zwierząt, niedolę dzieci i łzy starych ludzi.

Po powrocie Łukasza z pierdła w pierdło, Szambelan położył przed nim suchary z razowego chleba nasączone smalcem i plaster boczku.

— Jedz.

— Jedz. Potrzebujesz protein — poparł Szambelana Medyk w tej swojej doktorskiej manierze. Jedzenie pochodziło od Szambelana, Medyk z wolności niczego nie dostawał. Nie miał rodziny. A ta Lala, przez którą uszkodził Bojka, nigdy nie przysłała mu nawet na dropsy. Dokarmił go Szambelan, później dołączył do nich Łukasz ze swoimi wałówkami od matki, a jeszcze później do wspólnej puli dołączył się Alkor. Medyk dostawał

taki sam dział jak pozostali. Kiedy wychodził na wolność, powiedział:

— Nie wiem, gdzie będę mieszkał, dam znać, gdy zdobędę adres, ale wracam na szlak — co znaczyło, że nadal będzie handlował walutą, czym dorabiał podczas studiów. Wieczorami najłatwiej go zastać w Polsce, w Kamieniołomach Europejskiej, Victorii albo w szwedzkim Sarkofagu. Rządźcie za dnia w okolicach banków.

Kilka miesięcy później Łukasz nie szukał Medyka w drogich lokalach, nie spotkał też na warszawskiej city, więc zagadnął o niego Kobylę, żeńską odmianę Konia, inaczej Cinkię. Jeszcze tego samego dnia zatelefonował Medyk i umówili się na wieczór.

— Typ leptosomiczny o dyspozycjach schizoidalnych z inklinacją do... — Łukasz nie zauważył, jak nadszedł Medyk i zajął sąsiednie miejsce przy barze. — Spóźniłem się?

— Nie. Ja przyszedłem wcześniej.

— Halo, Medyk! — przystanąła dziewczyna.

— Odcumuj, Hrabino.

— Tacy są mężczyźni — zwróciła na Łukasza ładne, dyskretnie umalowane oczy.

— Ruszaj stąd, bo będę przykry — powiedział Medyk i poczekał, aż dziewczyna odejdzie. — To jest ta Lala. Kiedy wróciłem, chciała, żebym został jej Bojkiem.

— Przepraszam, nie wiedziałem. Nie umówiłbym się tutaj — speszył się Łukasz.

— Każdego wieczora możesz ją spotkać w każdym lokalu. Lala ma innego Bojka. Z Szejków. Był czas, że Szejkowie rządzą dziwbiznesem w Warszawie. No więc ma nowego Bojka. Przesłała mnie obchodzić.

Medyk dziwił się swemu szaleństwu dla tej dziewczyny, które wygasło tak dokładnie, że nie mógł sobie nawet przypomnieć bodaj odblasku niedysyjszych ogni.

— Sentyment do Varsovii? — zagadywał Medyk, ciekaw dlaczego umawiając się na spotkanie, Łukasz wybrał właśnie ten lokal.

— Akurat przyszła mi na myśl Varsovia, kiedy zadzwoniłeś — skłamał.

Prawda należała do Alkora.

Kiedy pod celą czarci szpon nie spadł na Alkora dzięki interwencji Łukasza, poruszony Alkor obdarzył go zaufaniem i zrewanżował się

podaniem kontaktu na przyszłość. Zawsze skomunikuje się z nim przez Iwę striptizerkę z Varsovii i może liczyć na niego w każdych okolicznościach. Alkor nie zapomni Łukaszowi spontanicznej pomocy udzielonej z narażeniem siebie. Przyjaciół nie kupuje się w sklepie.

Tego wieczoru w Warszawie Łukasz był o krok od próby skorzystania z zaproszenia Alkora. Jednak nie uczynił tego. Nagle powstały wątpliwości. Nie należy brać śmiertelnie serio deklaracji i obietnic danych pod wpływem uniesienia, na pewno szczerego w tamtej chwili, w tamtych okolicznościach. Warunki zmieniają sposób patrzenia, zmieniają odczucia, zmieniają ludzi. Coś o tym wiedział. A tak naprawdę skrupuły wywołał widok dziewczyny. Za piękna, żeby przyjść do niej w charakterze penenta i prosić o spotkanie z jej kochankiem. Nie chciał, aby usłyszała od Alkora o nim, przegranym inżynierze startującym spod zera, biednej niedoładzie, której trzeba pomóc. Łukasz wiedział, każdy samiec skorzysta z okazji, aby zdyskwalifikować potencjalnego rywala. Sam nie był bez winy.

— Alkor wyszedł?

— Jeśli otrzymał warunkowe, to albo już go puścili, albo na dniach. Dostałem od niego peleng na dom narzeczonej. Tam go zwinęli, tam był przypisany, wraca się do miejsca zameldowania. Tak stanowi prawo. Zgłosiłeś się, Łukasz, do opieki postpenitencjarnej?

— Nie czuję się wykołejony.

— Dadzą zapomogę, kartki, poszukają pracy.

— Skorzystałeś?

— Oczywiście. Bez rodziny, mieszkania, jestem na najlepszej drodze do recydywy. Dostałem biało, postaram się bardzo długo czekać na zatrudnienie.

— Zarejestrowałem się w pośredniaku. Miewam propozycje. Dwanaście, czternaście na miesiąc i niekoniecznie w moim fachu. Nie ma popytu na konstruktorów po odsiadce.

— Przyjaciele?

— Wykruszyli się. Pozostali ustawieni jakoś pochyło.

— Nie gadaj rebusami.

— Elektronik rzucił asystenturę, prowadzi prywatny zakład. Nie inwestuje. Po dwóch latach myśli zwinąć interes, otworzyć nowy o nieco innym profilu i *da capo*. Tak się ucieka przed podatkami. Fizyk teoretyczny, licencja na ta-

ksówkę, żyje z kartek benzynowych i czeka, aż urosnie sad. Chemik, akwizycja handlowa, na procencie. Jak nie utknie towaru, nie zarobi, ale zawsze może się wykazać wpisem miejsca pracy w dowodzie i jest kryty. Co roku kilka tygodni na saksach, przylepia wykładzinę w Erefenic, szkodliwe dla zdrowia, płacą dużo.

— Zdecydowałeś się już na coś?

— Zacząć od zera. Mam widoki dostać się do pracowni z prawdziwego zdarzenia przez kolegę z politechniki, ale dopiero od nowego roku, ktoś ma pójść na rentę. Na początek czternaście tysięcy i dodatek.

— Chudo, musisz się tam pchać?

— Muszę. Przeze mnie zginął człowiek.

— Nikt więcej się do tego nie dołożył?

— Nie ja, kolega? Budowanie nie kelnerski rewir. Zwyczaj każe, aby na przykład budowniczy mostu przy próbnym obciążeniu wszedł pod przeszło. Coś w tym jest.

— Prawo Hammurabiego kazało złym muratorom obcinać ręce, nogi, głowy, głowy ich dzieci i co tam jeszcze. Czy wobec tego powinniśmy wracać do jego kodeksu? Jezus, Maryja, jakie perspektywy! Trzy czwarte stanu przedsiębiorstw budowlanych byłoby kalekami, kadłubkami, umrzykami, Wdowy i sieroty po nieboszczykach puszczają z torbami opiekę społeczną. Groza.

— Muszę zrobić coś dla żywych, skoro nie już nie mogę uczynić dla martwego.

— Uuu, bardzo pod górę! Ile ty właściwie masz lat?

— Trzydzieści pięć. I jeszcze nie zbudowałem własnego domu, moje drzewo wciąż czeka na zasadzenie i nie spłodziłem syna.

— Z czternastoma tysiącami miesięcznie będziesz ze sto dwadzieścia lat ciułał na habendę z tym tam drzewem. Ze wszystkiego najłatwiej o dziecko.

— To wschodnie przysłowie, co mężczyzna powinien zrobić w życiu. Program minimum.

— Więc jaki jest twój problem? Jak mawiają amerykańscy psychoanalitycy, co w wolnym przekładzie znaczy: mów mi swój ból, a ja cię wysłucham, robolu.

— Kroci się szansa wyjazdu do Stambułu. Kumpel oswoił kogoś w biurze podróży.

— Normalna. Bez obłaskawionego stworzenia trudno nawet w czeskie Tatry, a co dopiero na handlowy szlak. Miejsca mało, chętnych dużo.

Alc Turcja opatrzyła się i ma złą prasę. Regularnie podnosi się krzyk: jeżdżą spekulanci, bogacą się, przechwytyują, korumpują, przez co porządny obywatel nie ma szans na wyjazd po własnego karakuła, kozuch, dżyns, bawełnę, już nie wspomniawszy o Aja Sofii. Rynek także mniej chłonny na tamtejszy wyrób. Nawet zblatowane komisje już nie przyjmują, bierze bazar, zwłaszcza praski, oni wciąż mają klienta. Przyjeżdża prowincja. Stragan dyktuje modę, tam się wie najlepiej, co jest poszukiwane. Macie straganiarza?

— Nie.

— Umoczyłeś w tym interesie już jakieś pieniądze?

— Nie, a bo co?

— Daj spokój i poradź koledze, żeby sobie kupił dziadka do orzechów.

— Dziadka?

— Dziadka. I zamiast do Stambułu pojechał do Hortexu. Oni zlecają orzechy do łuskania. Robota czysta i pod dachem. Dostawią do domu, zważą, odbiorą owoc, skorupy, zważą. Jak się będzie zgadzało, zapłacą. Do handlu trzeba mieć głowę i pieniądze. Żeby zarobić maniochy, trzeba mieć maniory, jak u ciebie z manami?

— Mniej więcej.

— Mam! Coś dla ciebie. Wielbłądy. To jest to! — ucieszył się Medyk. — Obrócisz parę razy i staniesz na nogi. Willi z tego nie zbudujesz, najwyżej posadzisz drzewo, ale obsprasz się i przetrzymasz ze czternaście miesięcy, zanim się w tej pracowni jako tako nie ustawisz.

— Wielbłądy? Wolę za kornaka przy różowym słoniu.

— Przezwą jak inne. To jest transport, dowóz, dostawa. Chodzą karawany, biorą towar w Berlinie, Kopenhadze, Skandynawii, Enerdówku i innych demokracjach, byle bliżej, sprowadzają na rodzimy targ. Nie było szamponów, targali szampony, przeważnie do psich kudłów, ale się pienili i klient też. Brakowało rajstop — rajstopy, taśmy, gumę, nici. Wożą cytrusy, przyprawy, żelatynę, bakalie, kawę, sprzęt elektrotechniczny, zegarki kwarcowe i wszystko co się da i nie da. Fenicjanie.

— Dopiero wyśmiałeś pomysł ze Stambułem.

— Pomysł! Nie nadajesz się na Fenicjanina. A wielbłąd nie myśli, wielbłąd taszczy.

— Dziękuję.

— Na zdrowie. Karawana chodzi jak po sznurku. Źródło zaopatrzenia, wpłaty, cła, nic ich nie obchodzi. Prawie ideał. Ale bez kaucji nie biorą.

— Ile?

— Tysiąc dolarów. Chrzestna mnie zna, skupuję dla niej sałatę. Poręczone za ciebie, powinna opuścić do pięciuset. Dwieście mogę ci pożyczyć.

Oszczędności matki, pomyślał.

Jego matka pod groźą inflacji chodziła pod bank w Alejach, kupowała dolary, chociaż nigdy dotychczas nie miała waluty, bo nie było dość pieniędzy, żeby odkładać. Teraz miała. Po raz pierwszy w życiu. Zbierała dla syna na nowy początek, kiedy wyjdzie stamtąd. Słowa: więzienie nie dopuszczała do siebie nawet w myślach.

Jak się robi oszczędności przy emeryturze sześć, siedem, po ostatnich podwyżkach — dziesięć osiemset? Wzięła pół etatu, pracowała jako portierka w muzeum. Było tam ciepło i czysto i do woli mogła patrzeć na obrazy. Robiła zapas kartofli, piekła placki na posmarowanej słoniną patelni, gotowała zupę ziemniaczaną, do tego najtańszy chleb, od święta pozwalała sobie na biały ser. Sprzedawała kartkę żywnościową, wykupywała tylko mięso do paczki dla syna.

Dziękowała Bogu za zdrowy żołądek, że mogła jeść, co jadła, i za mieszkanie w starym budownictwie, bez kaloryferów. Przez pięć lat nicobecności syna ani razu nie włączyła elektrycznych grzejników, jakie pozakładał Łukasz za swoje najpierwsze zarobki. Do kuchni wstawiła przechowywaną w piwnicy kozę, pamiątkę wojennych i chudych powojennych lat. Kozą zwierzę pożywi się starą miotłą z brzozy witek, kozą piecyk przemieni w ciepło nawet kawałek tektury z pudła podniesionego na śmietniku pobliskiego sklepu.

Nie ufała bankom i nie powierzyła pieniędzy w czasie, kiedy jeszcze nie obowiązywała karencja dla wpłat nieznanego pochodzenia. Gdy wreszcie znechęna odsetkami otworzyła rachunek na imię syna, dopiero po dwunastu miesiącach bastardom zrodzonym pod Pekao w Alejach przebaczone nieprawie łożę i, pieniądze zaczęły procentować. W dniu powrotu Łukasza, podała mu wyciąg z konta z wkładem trzystu pięćdziesięciu dolarów.

Przyśiął sobie nigdy nie tknąć tych oszczędności. Pierwsza pokusa dopadła teraz.

Z trudem otworzył oczy, miał uczucie, że powieki są umocowane na zardzewiałych zawiasach, w rozdętej bani wypchanej kawałkami złomu namagnesowanego bólem.

Dźwignął rękę, w otaczającym półmroku zoczyły się fosforyzowane cyfry na tarczy zegarka, ziały ze wskazówkami. Przymknął jedno oko, dopiero teraz zdołał odczytać godzinę. Dochodziła szósta.

Pewno zaraz pobudka, skurczył się pod wpływem myśli o ostrym, porannym dzwonku, samo przypomnienie dźwięku przewiercało czaszkę. Kto mnie tak urządził, Kosior, Luluś, Sprężyna?

— Skąd ja cię znam? — udawał niepamięć Sprężyna, gdy Alkor wszedł pod celę. Galeria zachichotała w oczekiwaniu beczki śmiechu. Niektórzy pamiętali Alkora z telewizji i tylko kto nie chciał, nie wiedział, że to ten od habendy dla narzeczonej, który otrzymuje pewexowskie paczki. Klawiszy też wkurwiał klient pałacy camele albo dunhille ze złotym ustnikiem, jakby to nie był pierdel, a jaka Riwiera, kiedy oni pracowali na raka płuc sportami, klubowymi lub w najlepszym razie carmenami, które już nie przypominały carmenów, tylko siano z zaprzęszlorocznego stogu, i nawet powstały naciski, zwłaszcza gdy nawet to siano dzielono na kartki, żeby skasować luksusowe wałówki, bo w końcu: kto odbywa karę w tym zakładzie?

Jednak wyższa klawiatura nie uległa sugestiom. Przepis stanowi tak, a tak. Przepis nie wyklucza Pewexu jako nadawcy.

I Alkor nadal otrzymywał swoje przesyłki, chociaż delikatesowe wyroby dopiekiły wszystkim do żywca, nawet pasożyty gospodarce ziały zawiścią. Ten się urządził! A oni nie dopuszczali nawet myśli o znalezieniu się w takim ścieku. Zabrać, skonfiskować, tu nie sanatorium, tylko Jelce Olskie.

Więźniów przebywających razem z Alkorem sam widok pięknych opakowań jątrzył niczym niewygojony czyrak. Pojawiała się przekłeta

czegość w żołądku, do ust napływała ślina, a honor biedaka wzbraniał okazać pożądanie niedostępnych smakowitości.

Alkor nie wrywał się do częstowania. Biorąc na rozum, co znaczyła jedna paczka na piętnastu, dwudziestu chłopu. Ale gest także się liczył. Kiedy się tropnął i zdobył na wyrzeczenie, już było za późno, nikt nie mógł od niego nic wziąć, bodaj plasterka kiełbasy, peta, czy ułomka czekolady. Lepsi ogłosili Alkora Nieczystym, a jego zagraniczne jedzenie niejadalnym i wlokło się to za nim od celi do celi.

— Co tam masz, Narzeczony? — po powrocie z roboty pytał łaskawie Sprężyna wskazując karton pośród manatków Alkora.

— Żywność. Poczęstujcie się — spojrzał po twarzach, po umykających oczach.

— Puszki — pogrzał w pudle Sprężyna — słyszysz Szambelan, dolone puszkę, rusz dupę Szambelana po dolony klucz, od dolonego klawisza.

— Oddol się dolony, do kolacji jeszcze dolona godzina — zgodził się Szambelan z wysokości pryczy. Każdą wolną chwilę spędzał w pozycji poziomej, jak gdyby musiał często odpoczywać od swojej wielkiej siły. Miał dobre legowisko, niewidoczne przez wizjer i zawsze zdążył je opuścić przed otwarciem drzwi. Zresztą na czujce trwała ciągle warta kolejno zmieniających się dyżurnych. Pilnowanie lipa nie obowiązywało trzech Lepszych, pięciu zwyczajnych Lepszych i Szambelana, starszego celi.

Dłużyła się ta godzina, ciekła jak zwietrzały kłajster. Uwierzyli w zdjęcie kłatwy z żywności Alkora, cieszyli się na pokosztowanie pewexowskich smakołyków.

Nareszcie dał się słyszeć hurgot wózka z kotłami, szcęknięty zasuw. Szambelan zameldował stan celi i poprosił o otwieracz do konserw. Kalifaktor pod okiem klawisza odmierzył supę, kawę, podzielone już porcje chleba i otworzył puszkę.

— Gdzie mam kłaść? — rozejrzał się. Naczynia były zajęte polewką. Alkor podesłał kawałek plastyku. Tamten wygarnął zawartość i zabrał puste blaszanki.

— Odeszli — raportowało lipo między jednym a następnym kęsem. Lipo jak wszyscy wiostowało gorącą supę.

Ucichły rozmowy, podzwaniały łyżki, cęła siorbała grochówkę. Mimo woli spojrzenia biegly ku wyłuskany z opakowań duńskim szynkom,

różowym jak prosięta z marcepanu, w kołnierzykach przezroczyściej galarety.

Cęła wymuskiwała miski ułomkami ośródkę skąpo skubniętej z kromki, resztę pieczywa zachowując do poczęstunku. Zastanawiano się, jak Sprężyna podzieli owalne brykiety mięsa. W plastry, czy w kawałki? Lepiej w kawałki. Sprawiedliwiej. Wypadnie po ćwiartce półkilowej puszkę na twarz. To dwanaście i pół deko.

Zebrano naczynia, zamknięto drzwi. Znowu zgrzytnęły zamki, zachrobotaly klucze. Przebrzmiewał i zamilkł odgłos pojazdu z bańkami. Zaczynała się najlepsza pora. Po jedzeniu ludzie pod celami robili się łagodniejsi, klawiatura pozwalała sobie na kolację, dozór działał na zwolnionych obrotach, stawał się mniej dotkliwy.

— Studzina się rozpuszcza — nie wytrzymał któryś, obserwując jak z konserwy osuwa się otoczka auszpiku.

— Dzielimy — podniósł się Sprężyna, pół kroku za nim adiutanci, Kosior z Lalusiem. Spółowanym trzonkiem łyżki przekroił wzdłuż wszystkie bryki, jego ręka zawisa w powietrzu. Poruszył grdyką.

— Co jest? — denerwował się Kosior.

— Degustujemy — Sprężyna chwycił połówkę i po połowce podał swoim pomocnikom. Żarli.

— Skurczybyki dolone — jęknął ktoś z widowni. Zbiorowe westchnienie zaszeleściło nad przyczami. Cęła zęgnęła się z ćwiartką puszkę na osobę, godziła ze zmniejszoną racją. Ale nie dostali żadnej racji. Sprężyna przełknął ostatek swojej szynki, chwycił plastik i pozostałe mięso wyrzucił do kibla.

Cęła zamarła. Potem podniósł się pomruk, jakby dźwigało się udreżone zwierzę. Lалуś z Kosiosem wyskoczyli do przodu i pokazali izbie czarci szpon. Uniesione ręce z rozczapierzonymi palcami. Pomruk przeleciał jak iskra i zgasł jak iskra. Na skrawku pustej przestrzeni dreptali tamci zataczając półkoła, zawsze przodem zwróceniu ku pozostałym. Za sobą mieli Sprężynę, kibę i ścianę. Ich ruchy przypominały jakiś rytuałny taniec.

— Ty draniu, ty podły draniu! — Alkor za ich plecami skoczył ku Sprężynie. Już nie obliczał szans, jakby zaraził się od nich wściekłym uniesieniem, stężoną nienawiścią wywołującą trans, kiedy nie dba się o swoją skórę, kiedy się musi.

Pięć trzasnęła między tamte bezczelne oczy, ależ one są puste, przemknęło przez myśl. Sprężyna zatoczył się do tyłu, utrzymał na nogach,

jeszcze odchylony, prawie niewidocznym gestem dotknął uda i zasłonił się wydobytym ze szwu spodni cienkim, długim ostrzem.

Alkor odskoczył, ale już określił się w piruecie. Lalus, nad twarzą Alkora zawisł czarci szpon, wiedział, co to znaczy, cofnął się, w tym momencie odepchnął go Łukasz i kopnął Lalusia w podbrzusze. Cios przeznaczony dla Alkora wytracił moc, ręka Lalusia zwiotczała, lecz zaczęła Łukasza. Umieszczone pod paznokciem spiczaste ułamki żyłek, samą siłą bezwładu przecięły rękaw i krwawymi pręgami naznaczyły przedramię.

W celi zapanowała cisza.

Kosior kulił się w kącie. Sprężyna zwił w dłoniach Szambelana. Na jego nadgarstku krzepła krew. Medyk miał ślady cięcia na bluzie i krwawe brudzy na piersi. Ostrze wytrącone Sprężynie Szambelan trzymał zwrócone ku milczącej gromadzie.

— Spokój — kątem oka dostrzegł próbę dźwignięcia się Kosiora, kopnął go na oślep wciąż uważając na biernych świadków.

— Kto następny? — Szambelan odtrącił Sprężynę, tamten potoczył się jak wór z piachem.

— Im się należało Szambelan — potwierdził neutralność jeden z Lepszych.

Szambelan nie miał zamiaru mieszać się do rozdziału szynki, ale zawrzał, gdy tamci cisnęli mięso do muszli. W głowie się nie mieściło takie draństwo. Nie rozumiał, jak można obudzić nadzieję, a potem tak wrednie plunąć ludziom w twarz. I byłby się ruszył, ale nie miał pewności, jak postąpią pozostali Lepsy i nie miał rozeznania, kto jeszcze ukrywa ostrze. Lecz kiedy Komputery jeden po drugim rzucili się między nożowników ogarniętych czarnym amokiem, Szambelan wszedł jak lodolamacz w to kłębowisko szaleństwa. Ani dbając o władzę odebrał ją człekokształtom i podzielił z Komputerami.

— Ty gównowozie! — wychynął ze swej nędzy Sprężyna. Oto został strącony na dno i nikt się za nim nie upomniał. Od niepamiętnych czasów wiedział swoje. Ludzie są mierzwą i należy ich deptać, w przeciwnym razie podepczą ciebie.

— Zgadza się. Wozilem gówno, znam się na gównie i jeśli się nie uspokoisz wywiozę i ciebie. Nogami do przodu. Odbiorę ci zdrowie pomału i bez śladu. Mam jeszcze na to całe trzy lata.

— Dlaczego, dlaczego? — rozplakał się Sprężyna, skulona, zapadła w siebie kupka nieszczęścia. Nie kierował pytania do Szambelana ani do

nikogo. W ogóle nie pytał. Cierpiał i litował się nad sobą, jemu działa się niesprawiedliwość, tak czuł. No bo jak to jest, Sprężyna zakosił i taki na przykład Komputer zakosił. Sprężyna przynajmniej dał swojemu wybór. Powiedział, muszę ciebie zabić, bo kapujesz, co wolisz trybownik czy pętle? Tamten wybrał nóż. Stwarzał szansę, kiedy sznur załatwiał sto na sto. Nie przeżył majchra, jego strata, ale inżynierek nie dał swojemu nawet takiego fora, kiedy tamtemu ni z tego, ni z owego strop urwał się na łeb. Komputer za porządnego obywatela zarobił piątkę, Sprężyna za bazarowego kabla, dwadzieścia pięć. Narzeczony nazgarniał się jak elektryczna golarka i teraz zażera zagraniczne kichy, Sprężyna odkąd przebywa pod celą nie dostał ani grosza, ani jednej paczki, ani jednego listu. Nawet Szambelan, ten przegrany gównowóz ma wolnościową robotę, natomiast Sprężynę z ledwością puszczają na spacer w murach, chociaż od ośmiu lat nie widział zwyczajnej ulicy.

Komputery razem z gównowozem skopali Sprężynę i zgnoili, bo nie mógł się powstrzymać i zjadł konserwę, a resztę wyrzucił do kibla, żeby ukryć niegodną słabość i złamanie solidarności buchy.

Sprężyna tkwił jak w zapaści, chory na najgorszą chorobę. Był sam, tylko nie rozumiał, że tę dożywną samotność nosił w sobie, a kto go na nią skazał, nie wiedział nawet więzienny psycholog, który określił Sprężynę jako osobowość okaleczoną, pozbawioną uczuć wyższych.

Alkor w euforii po rozprawie ze szpaną, jeszcze pod wrażeniem niedawnego zagrożenia, zawierzył Łukaszowi imię Iwy i nazwę lokalu. Kiedy ochłonał, popadł w przygnębienie. Oto jak podstępnie nadkruszyły go mury. Zdziczał, porósł panczrem, jednocześnie zrobił się podatny na wzruszenia, ulegał nastrojom, poddawał nagłym uniesieniom, czepiał drugiego człowieka, i w jednej chwili naraził latami wypracowany plan.

Gdzie jestem, ocknął się z półsnu. I nagły przypływ świadomości. Jak uderzenie.

Buty!

Usiadł, ściany zawirowały, mdląca gorycz podpłynęła pod gardło. Trwał. Powoli pokój zwalniał obroty.

Obuwie stało pod krzesłem, przez poręcz przewieszano się porządnie złożone ubranie z żaglowego płótna. W zasięgu ręki znajdował się barek na kółkach. Na nim wczorajsze butelki. Nie doliczył

się jednej. Szkota wyciągniętego przez Hefa z wiklinowego koszyka. Na widok alkoholu żołądek podjechał pod przelyk. „Coś mu zadał Hef? Twojego wyciągu z makuchów” wydobyło się z obolałej pamięci.

Odrzuć się.

Falszywe gadziny, myślał pławiąc kaca w gorącej kąpeli. Ten stary alkoholik chciał sprawić wrażenie, że całą wałówkę przywiózł z domu. Dolarowa kwatera, wzięta z giełdy pod biurem wynajmu! Obezwładniło kilka kieliszków z kordialem Chrzestnej. Nie da im ani grosza, wystarczy procent, jaki otrzymywali od ręki za każdą ukradzioną sztukę, myślał, jakby dopiero teraz powziął postanowienie, chociaż wiedział to od chwili usłyszenia wyroku. Za wszystko zapłacił wartością najwyższą, siedmioma latami życia.

Musiał się nimi posłużyć po opuszczeniu więzienia. Zmylić lub naprowadzić ewentualny namiar na zimny ślad. Sprawy osądzone miewają dalszy ciąg, prokuratorowi także nie zgadzał się bilans Alkora. Ci dwaj odegrali już część swojej roli. Czas odejść.

Owinał wokół bioder frotowy ręcznik. Za ażurową przegrodą dzielącą korytarz, jakby nie poruszyły się od wczorajszego wieczoru, leżały czarne dogi.

Tylko zdążył się ubrać, Chrzestna zapukała do drzwi. Mogło się wydawać, miała nasłuch albo podglądała przez zamaskowany wizjer. Weszła w chmurze dobrych, za mocnych perfum.

Sztywny od lakieru, lśniący helm tlenionych włosów, rzesy przyklepione bez zarzutu i pociągnięte świeżym tuszem, brzoskwińowa skóra z warstwy jakiegoś drogiego mastyksu, brylantowe rauty w uszach. Jedynie wiśniowe kimono z błyszczącego atlasu z czarnym smokiem na piersi zdradzało wczesną godzinę.

Nie pytając zasiadła w fotelu z nogą założoną na nogę, bujając stopą w bordowym, obramowanym czarnym puchem, porannym pantoflu bez pięty. W rozcięciu długiego szlafroka jaśniało różowo upudrowane udo.

— Klina? — wskazała barek.

— Ostrygę.

— Raczej proszę się przenieść do Victorii.

— To tylko cocktail na przepicie: żółtko, oliwa, sok z dużej cytryny, pięćdziesiątka koniaku. Zmiksować.

— Skąd pan tu spadł?!

— Z pierd! łaskawa pani, przyjaciel nie poinformował?

— Dlatego wiedza o bożym świecie żadna. Oliwy nie ma, tylko olej rzepakowy, cytryny też nie ma, a jeśli się znajdzie, kosztuje dwa dolary. Kto za to zapłaci?

— Hef. I nie pomylić alkoholu z szalejem, jaki dostałem wczoraj.

Wstała.

— I proszę przysłać Hefa.

— Pan zwolnij pokój do dwunastej.

— A jeśli zapłacę? — nie miał zamiaru pozostać ani chwili ponad konieczność.

— Już wynajęty. Do południa musi się pan wynieść — ruszyła ku drzwiom. Odplynęła jak dżonka pod pąsowymi żaglami.

Hef przyszedł z Płowym, przynieśli ostrygę i śniadanie.

Szklanka zamarła w ręku Alkora w połowie drogi do ust. A jeśli znowu coś dodali? Nie, dopóki mają nadzieję na pieniądze, nic mu nie grozi.

— Dzisiaj do podziału dwa miliony z hasła, pozostałe rachunki później, ale przedtem powinniśmy się domówić. Na ile oceniacie siedem lat życia — targ potwierdzał wiarygodność jego obietnic, więc powinien się upierać.

— Najpierw chcemy zobaczyć wszystko.

— Swojej części w ogóle nie wyjmę.

— A za co będziesz żył, mieszkał, z czego nam zwrócisz pożyczkę? — zdenerwował się Hef.

Artysta z ciebie marny, myślał Alkor. Ani słowa o mojej rozmowie z panią, ani słowa o wyrzuceniu z pokoju. Wypchnęliście mnie stąd, żebym wynajął mieszkanie, zapłacił z góry i znacznie uszczuplił swoją część hasła. Mam wysnuć się z monety, sięgnąć głębiej, to znaczy udać się na metę, której nie znacie, co, jak żywicie nadzieję, doprowadzi was wreszcie do schowka. Pójdziecie za mną sami albo poślecie kogoś, kogo nie znam. Raczej to drugie.

— Gdzie się zahaczysz? Mogę załatwić pokój, niedrogi i niekrepujący — ofiarował się Płow.

— Dziękuję. Już sobie pomieszkałem z waszej poręki i ścięło mnie w kadłub. Nie pamiętam, jak trafiłem do łóżka. Tak nie działa żaden szkot. Omal nie zdechłem.

— Przysłałeś się do butelki niczym niemowlę, to padłeś. Ale co z mieszkaniem? — nie ustępował Hef.

— Mieszkanie mam u narzeczonej.

Szli za nim. Jechali. Przesiadali się.

Płowy z roślejszym od siebie chłopakiem ani chcąc, ani wiedząc, grali w jego drużynie, pomagając budować jego plan. Jeśli jakiś Pies przypadkiem szedł teraz z nimi, musiał namierzyć i te dwa głupie Foksteriery, ale poza nimi nikt go nie obserwował. Do ostatniego przystanku dotrwało tylko kilka starych kobiet, wszystkie pośpieszyły w stronę ogródków działkowych. Na pustej końcówce linii komunikacyjnej z rozpalonego autobusu wysiadł kierowca i Foksteriery. Szofer legł w cieniu drzew otaczających elipsę asfaltu z ławką pod wiatą, tandem powlókł się za Alkorem.

Szedł chodnikiem nad gładką jezdnią i tylko po starych wierzbach poznawał dawną drogę ni to miejską, ni wsiową, biegnącą pośród pól obsadzonych warzywami.

Prawie zupełnie znikła kolonia zaniedbanych domostw na ziemi jakby już nie stołecznej, a jeszcze nie gminnej. Nowe domy postrojone w mansardy, podcienie, olicowania, pod czerwonym eternitem udającym dachówkę, a nawet pod prawdziwą mniszką o niepowtarzalnej barwie wypalanej gliny, nadwiślańsko-podhalańskie, z mazowiecką skandynawskimi, z polską dworsko-reformowane stały stłoczone każdy nad przynależną łatą wystrzyżonego trawnika, na jakie pokrojono niegdysiejsze posiadłości tubylców.

Na tym tle siedziba majstra — blacharstwo pojazdowe — za pamięci Alkora najokazalsza w okolicy, wysoko podpewniczony czworokątny słup z betonu z płaskim dachem wznosił się jak drogowy znak.

— Precz stąd, ty sysysynu — na widok Alkora jęknął Blacharz.

— Niech teściu nie robi kina pod furtką.

— Nie waż się tak mnie nazywać! Pies tobie teściem, turma świekrą! — zgrzytnął Blacharz i rozejrzał się, czy kto nie podsłuchuje.

— Przychodłem prosić o mój sprzęt turystyczny. Muszę mieć pod czym spać i na czym jeść. Na nowy mnie nie stać.

— Ludzie, trzymajcie mnie! Masz czelność przyjść i jeszcze się czegoś dopominać! Niechaj ci skarb państwa pierzynę sprawi.

— Mam sprawę — nie ustępował Alkor.

— Ja do ciebie nie mam. Progu mojego domu nie przestąpisz.

Po drugiej stronie w bezlitosnym słońcu Foksteriery łowiły każde słowo. Płowy, wbrew przewisku smagły, niechętnie znosił upał, ale jego towarzyszy zaczynał „zrzucać skórę”.

Majster nie życzył sobie publiczności, z początku zdecydowany rozmawiać przez płot, zmienił zamiar i acz niechętnie zabrał Alkora do kantoru na tyłach warsztatu z dala od oczu sąsiadów i niepowołanych świadków.

— Elki nie zobaczysz i nie próbuj! Dość się przez ciebie wstydu najadła. Niestawą nas okryłeś, na pośmiewisko wydałeś, palcami nas wytykano na Uliczce.

Uliczka.

Tak się nazywała od zawsze. Nawet po otrzymaniu magistrackiej tablicy z wpisaną w plan miasta nazwą: Alabastrowa, dla mieszkańców pozostała Uliczką. Przez blisko pół wieku kolonia składała się z domów zbudowanych przez ciulaczy jacy w latach trzydziestych, kosztem wyrzeczeń całego życia, na starość wprowadzili się na swoje. W tych szarych pudełkach ze ślepą tylną ścianą, nad nachylnymi w jedną stronę dachami, swego czasu trzecie pokolenie czekało na bloki i o schedę dbało aby, aby, albo wcale, ponieważ zapowiedziano z urzędu przymusowy wykup lub zamianę na mieszkanie z zastrzeżeniem, że od tej pory nie uwzględni się już przy rozliczeniu żadnych nakładów dokonanych przez właścicieli. I nastąpiła duża pauza. Miasto samo jeszcze nie bardzo wiedziało, kiedy dokona zapowiedzianych wyłączeń.

Nigdy nie dokonało. W zamysłach urbanistów wiodły w zalążku kolejne projekty, rozbiwały się o brak uzbrojenia terenu. Na przyspieszenie brakowało mocy i środków, kolonię po ciulaczach uwolniono od zmory wykupu i czwarte pokolenie mieszkańców musiało zadbać o rozpadającą się substancję mieszkalną.

Większość nie bardzo miała za co ratować swoje domy. Dopiero kiedy do Uliczki przybliżył się krwiobieg miasta, kolektor, rurociąg elektrociepłowni, przewód biały z wodą i czarny tłoczący gaz, Uliczka doczekała szansy.

Z Warszawy, tak tutaj mówiono o mieście, w którego obrębie żyli, przyjechali ludzie z pieniędzmi, a najwięcej takich co w gazetach ogłaszali się:

„powracający kupi działkę z prawem budowy lub dom do remontu”.

Powracający, przez kilka lat w krajach arabskich w Afryce albo w Niemczech zachodnich, albo na drugiej półkuli zarabiali walutę, zaś w gazetowych anonsach podawali tylko jedno słowo określające ich status.

Domostwa mieszkańców Uliczki nawet po największym remoncie do pięt nie dorastały aspiracjom powracających, tedy tubylcy nie mając nawet tyle pieniędzy, by doprowadzić instalację, prosili uprzejmie o zezwolenie na budowę.

Nachodzeniem, molestowaniem, wycekiwaniem pod drzwiami urzędów, pisanem odwołań i skarg, prezentami i łapówką, wydostawali bezcenne prawo. Wraz z określoną liczbą metrów kwadratowych odkrojonych z posesji stanowiło równowartość trypokojowego domku z łazienką i sanitariatem. I nie trzeba było o nic się kłopotać, nabywca obie budowy zlecał jednej firmie.

Błacharz był najbogatszy na całej Uliczce, jego betonowy słup z parterem olicowanym tłuczonym porcelitem uformowanym w kwiaty górował nad okolicą. Błacharz nie musiał wyzbywać się części siedliska za cały dach nad głową, ale o prawo się postarał. Dają? Brać. Nie wiadomo, kiedy urzędowi się odwidzi.

Posag dla Elki. Dostanie grunt z prawem. Oboje Błacharzowie nie trzymali w tajemnicy rodzicielskiej zapobiegliwości i Alkor rozglądając się za najtańszą parcelą pod atrapę mającą ukryć rozmiary jego dorobku na wypadek, gdyby nie uniknął rozliczeń, znalazł narzeczoną z ziemią za darmo.

Uliczka przyglądała się szczęściu Elki. Uliczka zazdrościła Błacharzom. Ci ze wszystkiego potrafili wyciągnąć korzyści. U innych, córki w latach, niezamężne, chociaż też przecież był ten kawałek ogrodu do podziału. A Błacharze, proszę! Nawet z koniunktury na parcelę potrafili zebrać śmietanę. Chłopa jak świeca do domu przywabili i ani się spostrzegł, kiedy omotali. Sprzedał kawalerkę w Warszawie, przeprowadził się do Błacharzów, przywiózł zagraniczny kufer-szafę pełną ubrań i sprzęt turystyczny, ale przecież na sprzęcie nie spał. Błacharzowa puchową pierzynę w najlepszym pokoju na wersalce ścieliła. Prawda, rzadko u nich nocował, ciągle w rozjazdach, jak się pojawił, u Błacharzów świętowano.

Młody, przystojny, kształcony i bogaty. Pieniądz łączy do pieniądza. Naręczony w prezencie ślubnym dom Elce obiecał i z miejsca kontrakt

z Błacharzem u rejenta spisali. Błacharz firmę murarską ugodził, bo naręczony ani czasu, ani znajomości murarskich nie miał, tylko środki dostarczał, a Błacharzowie już dbali, żeby grosz z dobra córki na marne nie przepadł. Co mogli, sami robili. Na wykop pod fundamenty nawet najdalszą rodzinę skrzyknęli, przez kilka wikendów familia tyrała jak u siebie. Darmo.

„Nie darmo, dałem pieniądze” upierał się Alkor podczas śledztwa.

Zaręczyny Elka miała takie jak rzadko która dziewczyna wesele. Samych sukien na ten dzień sprawiła trzy: kremową, różową i barwy morskiej wiedeńskiej. Na rano, południe i wieczór. Wysadzili się Błacharzowie. Blisko sto osób zasiadło przy stołach zbitych z tarcic. Pośród gości wszyscy co doły i podwaliny szykowali, teraz już z kamienną podmurówką ławą betonową przykryte.

„I za przyjęcie zapłaciłem i za trzy sukienki z naturalnego jedwabiu” zeznawał Alkor do protokołu.

Jak tylko tę ławę betonową położyli, naręczony izbę sobie w podpiwniczeniu wyporządkował i w niej zamieszkał. To znaczy kufer-szafę i sprzęt turystyczny przeniósł tam, jak z wojaży wracał, nocował. I żadnym namowom Błacharzów nie uległ, tyle tylko co z pierzyny i koca zgodził się korzystać. Taki honorowy, powiadano.

Zaręczynowy pierścienek Elki był cały z platyny i z brylantem. Elka nosiła go tylko w niedzielę lub kiedy gościł naręczony. Z początku przyjeżdżał rzadko, dopiero gdy się w suterenie ulokował, częściej. Po obiedzie szli na spacer, nieśpiesznie kroczyli Uliczką. W oknach odchyłały się franki, zza pnączy, krzewów albo wprost zza płotu oglądano Elkę z naręczonym.

Błacharżówna rękę z brylantem nadstawiała pod promienie słoneczne, żeby się iskrzył lub sięgała do włosów niby je poprawiając. Elka uczesanie miała zawsze najmodniejsze. Uczyla się na fryzjerkę, bo trzeba mocno stać na nogach, a tylko dobry fach daje twardy grunt. Grzebień w zręcznych palcach na całym świecie zarobi na kawałek chleba z omastą, kładli jej w głowę ojciec i matka, dobrze życząc swojemu dziecku.

Elka miała zdolne ręce i zniechęcający do wyższej nauki przykład pośród najbliższych. Rodzony brat pokierował się na umysłowego, otworzył przewód doktorski, zarabiał wtedy sześć tysięcy, a jego żonę i dwoje dzieci żywiło rzemiosło Błacharza. Naręczony był magistrem, a gdyby nie interesy nie mieliby nawet okazji poznać się

z Elką. Od jakich przedsięwzięć puchł portfel narzeczonego, Elkę nie nurtowało, starzy Blacharzowie też nie dociekali.

Wiano Elki już pod dach podciągnięto, kiedy się wydało, w jakim to fachu naręczony pracował. Na mury rękę położył skarb państwa. Od tej pory stały, jak je opieczętowano, tylko poczerwieniały niczym skorupa na pustym orzechu. Blacharz prawował się z fiskusem, żeby grunt córki spod sekwestru wyjąć. U Blacharzków rewizje podejrzanego dobra szukały, każdy grosz liczyły, przy okazji niedoróbek podatkowych się dopatrzono. Blacharz domiar zapłacił. Pierścioneł Elki na poczet szkód skarbu zaliczono jako dobro z przestępstwa. Po całym świecie ich w telewizji obnieśli.

— Jedno ci powiem, idź stąd nawet nie oglądając się za siebie. I zapomnij o naszym istnieniu — powiedział Blacharz na zapleczu kantoru. — Jeśli mnie nie posłuchasz, zabiję i żadna ochrona cię nie uratuje — pokazał w stronę chodnika, gdzie oblażyły ze skóry Foksteriery.

— Tutaj jestem meldowany i tutaj będę mieszkać — Alkor spojrział ku widocznemu z okna kantoru domowi o ślepych otworach okiennych.

— Mieszkaj, żyj, zdechnij, wytnij dziurę w płocie, albo niechaj ci urząd skarbowy wprawi bramę, ale przez moje podwórko nie będziesz chodził.

— Nie będę.

5

Medyk nie wspominał! — w jej głosie zabrzmiało rozczarowanie, nuta niezadowolenia poruszyła dwa dogi rozciągnięte pode drzwiami. Uniosły głowy i z nastawionymi uszami spojrzały na Łukasza. W ślepiach rozgorzała i zgasła czerwień.

— Umówił mnie z panią, zanim zdążyłem spotkanie odwołać. Przeszedłem przeprosić za stratę czasu — Łukasz podniósł się z fotela.

— Siadaj pan. Nic się nie stało. Zdobędzcie pan te pieniądze. Medyk założył za pana dwieście, pozostaje raptem trzysta dolarów. Śmieszna suma — potrząsnęła głową. W świetle stojącej

lampy, pod którą siedzieli, zaślniły włosy, zamigotały diamentowe rauty wpięte w uszy, długie promienie strzeliły ku Łukaszowi.

— Nie zdobęde.

Przekreślił oszczędności matki. Nic miał odważyć z nimi ryzykować. Samo przypomnienie wywoływało obraz starej kobiety, jak manewruje swoim talerzem z nietkniętym mielonym kotletem. Pozostał z obiadu, będzie chciała wieczorem wzmówić Łukaszowi. Widzi jego spojrzenie, czuje się przyłapaną. „Już się najadłam” tłumaczy. „Mamo nie rób mi tego, nie musisz sobie odejmować od ust”. Oddał jej wszystko, co zarobił w więzieniu. Nie wydała ani grosza, odłożyła. Znowu odłożyła dla niego, bo nie wiadomo, co się może zdarzyć.

— Wykluczone — mówi Łukasz do swoich myśli i znów podnosi się z fotela.

— W taki sposób nie załatwia się interesów. Siadaj człowieku i dajmy spokój panowaniu. Jesteś dostatecznie młody, abym zwracała się do ciebie przez ty, na imię mam Jadwiga, po mężu nazywają mnie Mecenasowa, Wielbłądy powiadają Chrzestna, więc możesz mówić do mnie jak inni — sięgnęła po dzwonek, zamigotała w jej palcach srebrna czasza, rozsypała wysokie dźwięki, dogi uniosły głowy i ziewnęły z dezaprobatą.

Weszła dziewczyna, miała ciężko przedłużone oczy, ciężkie powieki i ładne, za duże usta. Zdjęła z tacy dwie wysokie szklanki z mrozoną kawą, pojemnik z lodem i butelkę koniaku.

Chrzestna знаła się na ludziach, chciała zaangażować tego Komputera i sprolongować kaucję, w przeciwnym razie nie poświęciłaby mu nawet tyle czasu, ile trwa wypicie kieliszka, nie mówiąc już o częstowaniu trunkiem.

— Ja potrzebuję uczciwego człowieka, ty chcesz zarobić. Załatwimy kompromisowo. Dopłacisz te trzysta dolarów, kiedy zarobisz. Parę razy obrócisz z karawaną i wyjdiesz na czysto. I tak jesteś wyjątkiem, od ciebie biorę połowę stawki. Oczywiście, jeśli kiedyś zechcesz się wycofać zwracam zastaw.

— Niedawno wyszedłem z więzienia.

— Wiem. I nie pragniesz wrócić. U mnie robota czysta, nie mówił Medyk? Ale pewno nie uwierzyłeś. Słuchaj chłopcze, ja pracuję w paśmie karno-skarbowym. Płacę cła, podatki. Organizuję moim Wielbłądom zaproszenia i wycieczki. Unikam łapówek, zawadzają o kodeks. Poprzednio dawca był kryty w zamian za donos na biorące w pierwszym przesłuchaniu. Teraz pudlują jednych i drugich. Strach dać za mało, jak się już daje,

trzeba tyle, ażeby biocy nie opłaciło się przypina- nie banknotów do raportu o uśiłowanie przekup- stwa. Ale tu się zaczyna inny rachunek. Co wart kandydat na biocy? Czy nie bezpieczniej i taniej podnieść cenę towaru. Mojego klienta nie odstra- szy sto, dwieście i więcej na kilogramie. No, rozgadałam się, ciebie to nie dotyczy.

— Co z paszportem?

— Najpierw pójdziesz z wycieczką do portów Skandynawii. Dokumenty, załatwia biuro podró- ży, w kupie łatwiej, sprawa rutynowa. Na ogół nie odmawiają, ale nie ukrywaj stażu w Jelcach Olskich, oni sprawdzają w rejestrze skazanych, a tam jesteś obecny. W twoim paragrafie raczej nieszczęście niż draństwo, o ile się znam na geografii, dostaniesz certyfikat. Później załatwi się zaproszenia.

Łukasz pomyślał, że jej przezwisko nie było tak zupełnie nieuzasadnione.

— Jeśli odmówią, coś się wymyśli — ale nie dopowiedziała co. Nie chciała ploszyć świeżego jak młode żyto Komputera perspektywą dopaso- wanego dokumentu. Taką świeżynę należy oswa- jać krok po kroku.

Nie musiała nic wymyślać. Biuro podróży załatwiło formalności. Z karawany Chrzestnej nikt nie odpadł. W kilka dni później Łukasz zobaczył Wielbłądy. Rośli, krzepy młodzi męż- czyźni.

— Poznajcie się. Jogi, Marcin, Tomasz, Płowy. Płowy prowadzi. Hef, tylko na kraj, dostawia gros do detalu.

Chrzestna przyjęła ich w hallu, przejścia za ażurową przesłoną prowadzącego w głąb domu strzegły dogi. Rozdała wszystkim dyski ze sreb- rzystego metalu.

— Nicopatrzona twarz, możesz wziąć więcej. Trzymaj, najmocniejsza waluta. Kawior. Żeby nie ikra mielibyście w jedną stronę puste przebiegi.

Łukasz upchnął w torbie okrągłe pudełka.

— Powiesz na cie, mam kawior na upominki. Jeśli zapytają, ile puszek, nie kręć, mów prawdę. Jeżeli nie pozwolą zabrać, oddasz Hefowi, zawsze czeka dopóki karawana nie zostanie odprawiona. W głębi domu zegar wybijał godzinę.

— Do zobaczenia chłopcy. Ty zostań, do ciebie mam słówko — skinęła na Łukasza.

Poczekwała, aż za Wielbłędami automat zam- knął drzwi.

— Weź ze sobą papierosy, jedzenie i termos, śpiwór i podróżną torbę. Brak bagażu zwraca uwagę, za duży majdan też, poza tym przeszką-

da. Z powrotem będziesz miał juki do taszczenia większe od siebie. W drodze na wybrzeże trzymaj się z dala od chłopaków, nie powinniście wyglą- dać na grupę. Pilnuj dokumentów i towaru. Żadnego kramarzenia na własny rachunek. Za to wyrzucam. Opłacam podróż, obiad na statku i transport. Jeszcze jedno, pociągi się spóźniają, jedź porannym, popołudniowym możesz się nie wyrobić na prom.

W Gdańsku cały dzień wałęsał się po starym mieście. Długi Targ niewidziany od lat urzał świątynością i cenami. Oparł się obiecującym chłód stylowym, mrocznym lokalikom w wickowych piwnicach. O ósmej stawił się na przystani.

— Poczekamy — podszedł do niego Płowy. — Krypa już jest, ale zanim wypuszczą tutejsze baktriany, odprawa potrwa do późna. Pijawki spłyną potem, przywiedną i zrobią się mniej docieklive. Chodź, póki co napijemy się kawy — pociągnął Łukasza do bufetu. — Cześć! — pozdrowił siwego mężczyznę z aktówką spaceru- jącego pod zamkniętymi wejściami komory cel- nej. — To ojciec chrzestny gdańskiej nawojki.

Narastał tłum pasażerów i rodzin, które z pie- niędzmi na opłaty wwozowe przyszły powitać powracające Wielbłądy niezorganizowane, Wiel- błądy samotniki, Wielbłądy okazjonalne. Około północy poczekalnia pękała w szwach, zachłysty- wała się papierosowym dymem.

Nareszcie rozwarły się podwoje izby celnej zastawionej piramidami pak, worków, transporte- rów. Ojciec chrzestny pierwszy przedostał się za próg, tam szedł od stanowiska do stanowiska, zbierał kwity, dobywał z teczki i ciskał na błaty stołów, z góry odliczone paczki banknotów pod banderolami.

Na hall zaczęły wysuwać się pierwsze wieże kartonów, worów, kontenerów. Parły obydwo- ma przejściami. Zbiorowe ciało, od wielu godzin zalegające poczekalnię, runęło z przeciwnej stro- ny.

— Trzymaj się środka — zdążył poradzić Płowy, zanim odrzucił go od Łukasza szturmują- cy tłum. Ręce, walizy, nogi, paczki, głowy, torby, łokcie, toboły. Walczono mężnic, już nawet nie tyle o przybliżenie do drzwi komory celnej, ile o oddech, całe zebra i utrzymanie się w pionie.

Młodzi ludzie z karawany Ojca Chrzestnego przemogli żywioł napierający z poczekalni. Zwar- ta maśa pękła, została rozepchnięta na boki, w żywej materii redliły forwater juki pchane, ciągnione, toczone. Silni, dobrze zorganizowani

chłopcy pracowali łokciami, biodrami, kolanami, obcasami, czubkami butów.

W pomieszczeniach odprawy, mimo bryzy od nadbrzeża, zatykał zaduch. Zmordowani, zaczął się, otepiali celnicy śpieszyli z obsługą wyjeżdżających. Prom miał dwie godziny opóźnienia, Łukasz ze swoim nieobyciem amatorka na tle niemal stałej drużyny zawodowych turystów, ze swoją chudą torbą, śpiworem i uczestnictwem w wycieczce nie przedstawiał się interesująco z punktu widzenia myta. Celnik potraktował go rutynowo i Łukasz minął umowną granicę państwa.

— Mniej więcej tak to wygląda — na trapie dogonił go Płowy.

— Prędej — ponaglał Marcin wychylony przez reling dolnego pokładu.

— Gazu! Chłopaki zajęli miejsca — ucieszył się Płowy.

Chrzestna zapewniała Wielbłądom minimum. Należność za drugą klasę osobowego do Gdańska, powrót z Wybrzeża ciężarówką z przywiezionym grosem, prowadzoną przez Hefa, przejazd promem w obie strony, obiad na statku. Kto chciał, mógł sam wykupić bilet na fotel lotniczy w jednej z sal wypoczynkowych lub kabinę z kejami, natryskiem i sanitariatem. Nikt nie chciał.

Organizowali nocleg bez dodatkowych kosztów. Z domu zabierali śpiwory, na promie zajmowali pluszowe kanapy przeznaczone do siedzenia w bocznych pomieszczeniach położonych wzdłuż elipsy kadłuba. Mieli przewagę nad innymi, znali ustronne salony i saloniki na wszystkich pięciu pokładach. Ci, co odpadli z wyścigu, wsparłszy głowę o bagaż zalegali pokotem podłogi.

Od wejścia na trap Wielbłądy zapadały na ostrą wstrzemięźliwość. Objawy ascezy ustępowały wraz z powrotnym przekroczeniem magicznej linii na gdańskim pirsie.

Od rana, dyżurując na zmianę przy rzeczach, snuli się po tych pięciu pokładach przenoszeni z poziomu na poziom szybokobieżną windą, a w ich głowach nieustannie działy liczydła. W dwóch sklepach bezcłowych ceny oznaczone w markach Niemiec zachodnich przeliczali na dolary, dolary na złote polskie i wypadło, że w Pewexie taniej.

W aperitif-barach, nocnych klubach, restauracjach, kawiarniach, w całym kombinacie gastronomiczno-handlowym, jaki stanowiło te pływające pięć kondygnacji, przyjmowano należność także w złotówkach, więc przeliczali złote na zielone, zielone cinkierskie na zielone banko-

we z czego wynikało, że filiżanka kawy kosztuje dolara, a bułka z szynką dwa.

Wreszcie przysiadali w salonie samoobsługowym, kupowali po szklance herbaty i przez resztę dnia osowiali wylegiwali się na tych pluszowych otomanach albo zawali na pokładzie leżaki gapiąc się na brudną redloną kilem statku. Przypominali znudzone psy bernardyny zamknięte w ciasnym boksie. Wypatrywali ziemi.

Najpierw nadleciały mewy, później wynurzyły się szkiery. Łomy, igły, bloki płonej skały, kamienie runiczne granatowej wody, za nimi z bazaltu i granitu, szarooliwkowy z plamami ochry na ciemnej zieleni, powstał z morza brzeg Szwecji.

Po osiemnastu godzinach na promie, zesłi z trapu w Nynäsham. Zaczynała się robota.

Płowy poprowadził do kolonii magazynów, dojrzewalni, wielkiego i małego hurtu. W kantorze obsługiwanym przez jednego człowieka Płowy wymienił kod zapisany w elektronicznej pamięci, komputer potwierdził prawo Chrzestnej do towaru w granicach takiego a takiego kredytu.

Brali cytrusy, banany, inne owoce południowe, a chociaż firma szanowała klienta, oni przeglądali każdy karton, bo wyschnięty lub przejrzały owoc obciążał ich osobiste konto.

Pozwolono im przenocować w szatni dla personelu, korzystać z pryszniców i sanitariatów, mogli także w jadalni zaparzyć herbatę na elektrycznej kuchence. Pomieszczenia lśniły chromem i glazurą, septycznie czyste, nieduże.

Wieczorem Płowy zebrał srebrne dyski. Najbardziej poszczerbiło się Łukaszowi i Jogiemu, przeżyli wszystkie.

— Jedziemy do Harabatszatego. Stara kazała. Będziesz robił za pierwszego, kiedy ja przypauzuję — zawiadomił Łukasza Płowy.

To była droga restauracja w Sztokholmie, mieściła się w domu pamiętającym czasy pierwszych Wazów przy staromiejskim zaułku wybrukowanym popielatym granitem. Harabatszaty, Ormianin ze Lwowa, siwowłosey w czarnym smokingu oprócz obowiązków szefa celebrował funkcję majordoma i kredencarza. Przesyłkę odebrał osobiście, urzędował w kantorze, gdzie współżyły ze sobą stulecia. Kamienna posadzka, belkowana powała, nad gotyckimi drzwiami ekrany monitorów podglądały jadalne komnaty, recepcję i część gospodarczą. Pochyły pulpit z galeryjką, niegdyśjsze biurko rachmistrzów nadal służyło tym samym celom. Teraz stało na nim elektroniczne liczydło.

Ormianin wpisał sumę i postawił znaczek w notesie Płowego.

— Obrót bezgotówkowy — westchnął Płowy po wyjściu od Harabatszatego. — On to przekaże na konto hurtowni, gdzie stara ma otwarty kredyt.

Rano z magazynów dostawiono towar *loco port*. A ponieważ firma należała do syndykatu przedsiębiorstw, których artykuły premiowano z racji eksportu, nabywcom przy odprawie celnej wypłacono określony procent od sumy zakupu. I były to pierwsze i jedyne pieniądze, jakie Wielbłądy otrzymały do ręki po dokonanych transakcjach.

Przez całe lato Łukasz przemierzał szlaki karawan. Wiedział już, gdzie w Kopenhadze są najtańsze bakalie, konfekcja, zegarki kwarcowe i sklepy z napisem: *Tu się mówi po polsku*. Poznał nielicjonowanych kantory wymieniające o kilka punktów korzystniej niż banki każdą walutę świata na każdą walutę świata. Poznał miejsca w Berlinie Zachodnim, gdzie najopłacalniej za rękodzieło otrzymywało się sprzęt elektroniczny. Tu rynek był trudny, klient wybredny, konkurencja ostra. W KA-DE-WE na Unter den Linden oferowało swoje wyroby w każdej dziedzinie ponad sto pięćdziesiąt najbardziej znanych firm globu. Notowania wystawiane na wielkich tablicach w witrzynach bankowych plasowały złotówkę na ostatnim miejscu, zaraz po łacie tureckim, wyceniały sto złotych na dwadzieścia fenigów.

Łukasz chodząc w karawanie, zdążył się otrząść z twardymi prawami ekonomii, mimo to odczuł nędzę pieniądza swojego kraju jak osobistą zniewagę.

6

— Wróciłeś, a więc wróciłeś.

W jej głosie nie odnalazł ani niechęci, ani radości. I żadnego gestu. Kiedyś wymowne ręce jak martwe zwisały wzdłuż boków.

— Nie w porę, Iwa?

— Nie, dlatego — wetknęła dłonie w kieszenie spodni, widać przeskadzały jej te niczym nie zajęte dłonie, które już nawet nie chciały bodaj dotknąć jego ramion.

— Jesteś piękna — była piękna, piękniejsza, niż zachował w pamięci. Potrzebował jej, kochał w niej siebie, pozostawała jedynym człowiekiem, jaki mu ocalał po siedmioletniej cezurze.

— Przygotuję coś do jedzenia — ruszyła do kuchni. Pewnie potrzebowała chwili samotności, żeby znieść jego niespodziewaną obecność.

Wszedł do łazienki.

Miasto dokuczyło zawiesiną pyłów i spalin w czerwcowym upale. Chciał wziąć prysznic, chciał dać jej trochę czasu, chciał zaznaczyć swoje prawa, jeśli już nie do dziewczyny, przynajmniej do tego domu, chciał zobaczyć, jak teraz wygląda kąpielowy urządzony według projektu z zagranicznego magazynu, chciał odnaleźć swoje ślady lub ich brak, albo ślady obecności innego mężczyzny.

Natrysk działał, woda cuchnęła chlorem, lśniła polewa na kaflach i chromowane armatury. Na szlaku obiegającym ściany brodziły różowe flamingi, na dnie wpuszczonego w posadzkę basenu też zerowały różowe szczudłaki. Nigdzie nie zauważył nawet wspomnienia po sobie, ale też żaden przedmiot nie zdradzał istnienia kogoś drugiego.

— Wszystko przeniosłam do twojej szatni — powiedziała, gdy zjawił się w kuchni owinięty w sarong z prześcieradła.

Prawda, miał własną garderobę. W pomieszczeniu unosiła się woń środków przeciw molom, błąkał się zwierzały zapach wody cedrowej, na właściwych półkach leżały właściwe przedmioty, we właściwych przegrodach stało obuwie. Z wieszaków zwisały niemodne ubrania. Zdjął z ramiaczka lekką bluzę i szorty z jedwabnego szantungu. Poczul urazę za usunięcie jego rzeczy do nie używanej szatni jak przedmioty po nieboszczyku, które zabiera się sprzed oczu nie chcąc lub nie mogąc ich się pozbyć.

— Jedz — gestem zagarnęła stół nakryty na jedną osobę.

Szproty w oleju, peklowany ozór, oprócz rzodkiewek wszystko z konserwy zarejestrował z przykrością. Kiedyś, gdy powracał z delegacji, jak nazywał swoje wyprawy, poza kawiorcem, szlachetną rybą, albo skorupiakami nie podawała jedzenia z puszek.

— Jest inny mężczyzna?

— Nie w tym rzecz — przysiadła naprzeciw nad filiżanką, nabrała łyżeczkę miodu, śledziła jak opornie ścieka do gorącej kawy.

— A więc w czym?

— Przeształam czekać, rozumiesz? Już nie czekam na ciebie.

Co o niej wiedział, dzisiejszej? Pozostawił dziewczynę, spotkał trzydziestoletnią kobietę. Upłynął czas, jaki ją modelował, zmieniał, oddalał. Tak czy inaczej większość jego majątku ukryta jest w jego domu, hipotecznej własności tej kobiety. Jej noce z pewnością nie były samotne, runęło na niego uczucie zazdrości, ciężkie jak amok i przyływ nienawiści do tej flądry, której poświęcił siedem lat życia. W tej chwili mógłby przysiąc, że kradł tylko dla niej i przez nią. Wytrącić jej tę filiżankę, w której wciąż miesza, podnieść zza stołu, zbić, zmaltretować i przypomnieć, kim w ogóle jest.

Mury, pomyślał, więzienna obsesja. Musi się opanować. Potrzebuje jej bez względu na postępowanie podczas jego nieobecności.

— Już mnie nie kochasz, Iwa.

Przestał ją obchodzić, nie przetrwał ślad sentymentu nie ma niczego do zafiarowania, należy do przeszłości, przeminął — chciała powiedzieć uczciwie, gdy on tylko ukaże się w drzwiach po tych niewiarygodnie długich latach. Kiedy przyszedł, nie mogła się zdobyć na wyznanie, chociaż nie czuła dla niego nawet litości. Zamiast odejść, nie chcę cię, odpowiedziała wykrętnie.

— Nie mówmy o miłości — czym miała się żywić, paroma listami wysyłanymi przez Berlin? Berlin.

Wziąwszy pod uwagę możliwość więzienia, zatroszczył się o ewentualne złagodzenie tego jakiegoś czasu do pięciu lat, jak teoretycznie oceniał. W tym celu skomunikował się z zachodnioberskim pośrednictwem wyspecjalizowanym w usługach różnych. Dla nich nie istniały świadczenia za trudne. Za trudna bywała tylko cena. Im można kazać wysłać słonia do Patagonii, wymienić po drodze na grzechotnika i adresat w Nowej Zelandii otrzyma gada oraz różnicę wynikającą z wyższej ceny słonia minus porto i zarobek firmy.

Zamówienie w przedsiębiorstwie Pewex paczek do więzienia, gdzie, bardzo możliwe, klient w ogóle się nie znajdzie? Tylko powinszować. To nie jest najszczęśliwsze pomieszczenie dla szanownej klienteli, jeśli jednak okaże się nieuniknione, firma spełni każdy obstalunek. Podano dwa adresy, musiał się ich nauczyć na pamięć. Żadnych notatek.

O nowym miejscu pobytu zawiadomił panią numer jeden w trzeciej dzielnicy Berlina, na co odpowiadano zleceniem do Pewexu. Podziękowanie za przesyłkę stanowiło wiadomość dla Iwy,

którą z kolei ona otrzymała od osoby numer dwa z dziewiątej dzielnicy Berlina i przez wszystkie lata ten adres firmował wiadomości od dziewczyny. Z obu stron rzadkie listy sprowadzały się do pozdrowień i utartych zwrotów. Zaledwie głos stopniowo zacichający do bezosobowego szeptu pod falą upływającego czasu.

Przez owe walówki stał się obiektem patologicznej zazdrości i zaciekłej nienawiści. Wielekroć przeklął swoją przezorność, ale nawet nie pomyślał o odwołaniu przesyłek. Nie mógł się ich wyrzec nie tylko ze względu na żywność i papierosy. Z biegiem czasu skąpe stroniczki przynoszące kilkanaście banalnych zdań stały się wartością nadrzędną; nadzieją, oczekiwaniem swobody, smakiem życia do jakiego chciał powrócić. Świadczyły o lojalności dziewczyny, o istnieniu jego majątku, dla którego mył kible, znosił poniżenia i szykany, od którego uzależnił jedyną bliską osobę, wplątał w aferę Blacharzów, oszukiwał pomocników.

— Chroniłem cię.

— Chroniłeś swój dom, bałeś się stracić jak tamten, ofiarowany narzeczonej.

— Skąd wiesz?

— Widziałam was wszystkich w telewizji. Preżył z wielomilionową publicznością. Okropne widowisko — wtedy dopiero na dobre zrozumiała, dlaczego krył się przed sąsiadami i jej nie pozwalał zawierać z nimi bliższej znajomości, i nigdy nie wychodził z nią do miasta.

Pamiętał. Areszt śledczy. Pierwsze przesłuchania. Nie przyznawał się do niczego, czekając, aż sami odkryją parcelę z ceglanym zrębem zapisaną na imię Blacharzówny, ale nie przypuszczał, ażeby przedstawienie urządzone przez facetów z kamerami zobaczyła Iwa. W porze dziennika szykowała się do Varsovi. Jej pierwszy występ przypadał około dziesiątej, drugi po północy.

— Tamten dom spisałem na straty, zanim powstał. Udział Blacharzów powikłał dochodzenie, sprawa wytraciła impet. Należeli do sztafażu jak i budowa.

— Sprowadziłeś nieszczęście na niewinnych ludzi — powiedziała. — Odrażające.

— Widzieli, w co się angażują, dostali za to pieniądze.

Kłamał. Rozmawiała z Blacharzami. Poszła do nich wstrząśnięta prawdą o bliskim mężczyźnie, którego, okazało się, nie znała. Nigdy nie zapo-

mni zamętu, jaki w niej wzbudziło zniweczenie ostatnich złudzeń.

Kamera, rejestrująca betonowy słup Blacharzów, zahaczyła w zbliżeniu o tablicę z napisem: Alabastrowa, i zaraz w kadrze znieruchomiał obraz drugiego budynku z bielmem folii na otworach okiennych, nazywanego przez komentatora wianem narzeczonej.

Bez trudu odnalazła Uliczkę i zakład blacharski. Tamci wzięli Iwę za jeszcze jedną ofiarę. Niechaj opowie o doznanych krzywdach, oskarżając Alkora pośrednio pomoże i im, ponieważ na ich opinii legł dodatkowy cień: zaniżenia podatkowe ujawnione przy okazji śledztwa.

Prokurator uważał, że człowiek bez skrupułów wobec państwa jest zdolny do skorzystania z kradzionego i zastanawiał się, czy tylko Alkor kłamie. Równie dobrze, a może i lepiej mogli głać Blacharzowie zwalając wszystko na bardziej obciążonego.

Oni, Blacharzowie, są zwykłymi ludźmi, a dla zwyczajnego człowieka fiskus nie żadna ojczyzna, tylko końska pijawka i orznąć wydział finansowy, co też nie bywa święty, żadna hańba, a zdrowy instynkt samozachowawczy. Oni, jak żyją, po cudze nie wyciągnęli ręki. Niechaj im pomoże zdemaskować łajdaka.

Dopiero się przeraziła. Nawet gdyby chciała, nie mogła wystąpić przeciw Alkorowi. Każdy cios w niego, trafiał w nią. Dom kupiony za pieniądze złodzieja był zapisany na jej imię.

Podala nieprawdziwy adres i zmyślony telefon w mieście nad morzem. Później przez długi czas oczekiwała katastrofy. Wieczorami, wydana noc w noc oczom gości Varsovii, miała nadzieję, że Blacharzom nie przyjdzie na myśl szukać jej w tym lokalu. Teraz nie mogła zdradzić Alkorowi, jak wystawiła na sztych jego złodziejski dorobek.

— Złodziejski dorobek — powtórzyła głośno i przestraszyła się brzmienia swojego głosu.

— A coś sobie wyobrażała?

Na długo przed aresztowaniem uprzedził, co mu zagraża. I raz na zawsze uzgodnił postępowanie wobec takiego wypadku. Jeśli się wydarzy, pod żadnym pozorem nie należy szukać z nim kontaktu. Sam się do niej odezwie, via Berlin. Pisać pod tamten adres ogólnie i krótko. Jeśli nie zastosuje się do jego wskazówek, sama może się znaleźć w więzieniu, co nieuchronnie pociągnęłoby utratę całego dorobku.

— Domiar, przestępstwo skarbowe, waluta, spekulacja, przemyt. Lecz nie włamanie, kradzież i bóg wie, co jeszcze! Wierzyłam, że pod moim nazwiskiem chronisz dom przed wydziałem finansowym — powstrzymała się, żeby nie powiedzieć głośno: muszę się nareszcie uwolnić od was obu. Chciała mieć własne mieszkanie, zwyczajnego męża i dziecko, i nigdy już nie widzieć Alkora.

— Śmieszna jesteś z tym swoim podziałem na kanty nie hańbiące i czyny moralnie naganne. Masz jakis pieniądze?

— Wszystko co pozostawię. Wydaję własne. Zupełnie nieźle zarabiam, dzięki czemu nie powinno nikogo dziwić nawet posiadanie takiej willi.

— Potrzebuję na pierwsze wydatki — miał dosyć pieniędzy, ale chciał zbadać jej reakcję, bo nosił w sobie głęboką zapadnię więzienną opowieści o niewiernych, podstępnych, zdradliwych kochankach, kobietach o wystudzonych sercach, chciwych bogactwa.

Tkwil w swojej skorupie. Oglądał pusty garaż, bolał nad utraconym mercedesem skonfiskowanym u Blacharzów, pamiętał co do centa sumę pozostawionej Iwie waluty, badał rysy na meblach i szukał pęknięć w glazurze, nie zapytał tej kobiety, jak żyła przez owe lata.

— Podpisałam kontrakt, niedługo wyjeżdżam do Szwajcarii — nie miała zagranicznej umowy, chciała go zmusić do wyjawienia zamiarów.

— Chcę się z tobą ożenić.

Nigdy, pomyślała.

— Przecież to jest wskazanie palcem współnika. Jako mój mąż też nie będziesz mógł niczego na siebie przepisać.

Nie mógł. To co pochodzi z kradzieży, musi wrócić do poszkodowanych. Ciężyły na nim zasądzone grzywny i odszkodowania. Nieruchomość zaliczona by jako dług na rzecz skarbu państwa. Tutaj nigdy niczego nie może mieć, poza rzeczami niezbędnymi do życia. Będą mu potrącać z każdej oficjalnie zarobionej złotówki. Biorąc pod uwagę sumy jakie orzeczono, zwrot wymaga stuleci. O swojej sytuacji prawnej po wyroku wcześniej nie pomyślał, chociaż potrafił przewidzieć nawet paczki do więzienia.

— Ożenię się z tobą, zmienię nazwisko, tylko muszę wydostać się na Zachód.

— Chcesz mi towarzyszyć?

— Nie. Wyjadę sam. Do pilnowania domu sprowadzę Szambelana — postanowił. Kto to taki? Siłacz. Jego uruchomi wówczas, gdy sam

znajdzie się za granicą. Potem i ona będzie mogła opuścić posiadłość. Wcześniej nie. Spotkają się w Lozannie czy tam, gdzie otrzyma angaż.

Odżyła. Starła się nie zdradzać zadowolenia z jego projektu.

— Teraz weźmiesz urlop, najlepiej dwa tygodnie, jak zwyczajni ludzie — rozporządził. — Kiedy przypada pełnia?

— Pełnia?!

— Pełnia księżycą. Nie patrz tak, nie zwario- wałem. Daj jakiś kalendarz.

Przyniosła.

— Czerwiec, czerwiec... — przerzucał kartki. Pełnia zaczynała się dwudziestego drugiego, dzie- liło od niej kilka dni. — Potrzebuję sprzęt turystyczny.

Miała cały komplet.

— Skąd to u ciebie? Jak pamiętam wolałaś pensjonaty Orbisu — znowu opadły go podejrze- nia, za owym ekwipunkiem majaczył mu się mężczyzna, tylko że namiot wyglądał na fabry- cznie nowy.

— Nadal wolę, ale teraz są drogie, a to jest owczy pęd. Po załamaniu rynku ludzie uciekali od pieniędzy i kupowali wszystko, co się nadarzyło, a do lokalu zaglądały stojaki i stale coś przyno- siły.

— Stojaki?

— Handlarze czasem. Brali wynagrodzenie za stanie pod sklepami. W masarni miejsce w pier- wszej dziesiątce kosztowało pięć setek, mniej więcej dla tylu osób starczało lepszych wędlin. Więc kiedy zajrzał stojak z wyposażeniem turysty- cznym, kupiłam. Leżało. Z Orbisem przestałam się wybierać, pod namiot nie zaczęłam.

— Pojedziesz do Melisy nad Wielkie Jezioro. Jak pamiętam, w czerwcu tam jeszcze mało ludzi, w każdym razie musisz znaleźć kwatere. Od czego są pieniądze.

Na przystani w Dworczyku wynajmie kajak. Jezioro, to kilka kilometrów od Melisy, przepły- nie z łatwością, tam woda spokojna, zatoka osłonięta od wiatru. Łódkę zostawi na brzegu, miejsce jest bezpieczne, nikt nie ruszy. I niechaj nie zapomni karty pływackiej.

— Powinno ci wystarczyć — odliczył pienia- dze. — I zaraz muszę mieć papier, który ci pozostawiłem.

— Leży w banku, konto jest na moje nazwi- sko.

— Pośpiesz się, banki zamykają o dziewiętna- stej, ja wyjeżdżam w nocy.

— Cztery złote doba, ale wszystkie krypy wynajęte — powiedziała przystaniowa klubu KIT Nurek. Patrzyła w przestrzeń, u jej stóp leżało jedno z najpiękniejszych jezior Augustowa.

— Może jednak coś się da zrobić — Alkor jedną ręką ujął, a drugą przykrył jej dłoń. Po kolorze nominału prześwitującego między palca- mi poznała banknot pięciotysięczny. Niebiedny, skoro się tak szasta, oceniła klienta.

— U nas zamawia się z rocznym wyprzedze- niem, sprzętu coraz mniej, goście niszczą, nie ma komu naprawiać i nie ma skąd brać nowego..Nie produkują, nie opłaca się. Pan poczeka, zoba- czę — zaszemrała jęklonie.

— Proszę od razu wziąć za piętnaście dni. Na kwiecie mi nie zależy.

— Cóż robić dam własny kajak — znów ciężko westchnęła i posmutniała, jakby w tej dali, od której tylko na chwilę oderwała oczy, ukazało się coś bardzo przygnębiającego.

Własny kajak oznakowany emblematami i nu- merem ewidencyjnym klubu KIT okazał się śred- nio sfatygowaną łajbą ze sklejki pomalowaną na zielono. Alkor rozmieścił pod burtami ekwipu- nek, ściągnął z siebie ubranie, oliwkowy drelich ostemplowany pieczęcią więziennej szatni z wyra- żnym napisem w otoku: *Zakład karny w Jelcach Olskich*.

Wyplął na szlak.

Ustał w połowie pierwszego jeziora. Sflaczałem, zdiadziałem, garowanie wyssało siłę, myślał pchając łódkę przez żywioł przypominający zakrzepłą oliwę. Ani tchnienia wiatru pod rozpalonym niebem.

Na horyzoncie nieruchomy jak odlew leżał granatowy wieniec lasu, czubami świerków godził w sklepienie z ultramaryny. Pod zbitym gąszczem roślinności owionął go nagły chłód. Alkor wiosło- wał dalej pod osłoną drzew, aż ich cienie wydłuży- ły się i zanikły. O zachodzie słońca przybił do brzegu.

— Pokonałem dwa jeziora — powiedział głoś- no. Wyjął konserwę i pieczywo. Otworzenie puszki było jednak zbyt męczące, o rozłożeniu

biwaku w ogóle nie pomyślał, wsunął się w śpiwór zabierając do środka dokumenty i buty. Sięgnął po bukłę kupioną rano w Augustowie i zasnął zanim zdążył ugryźć pierwszy kęs.

Obudziła go spiekota i ostre światło klujące przez powieki. Podniósł się obolały, lodowata woda starła resztki snu, przyniosła ulgę odwykłym od trudu mięśniom. Zagotował na butli wodę, zjadł jajecznicę i chleb. Napił się kawy, zwinął obozowisko i zepchnął kajak na wodę.

Odnalazł właściwy rytm w posługiwaniu się wiosłem, ciało jeszcze protestujące bólem przyzwyczajalo się do wysiłku. Wieczorem starczyło energii na kąpiel, zagrzanie jedzenia i rozbicie namiotu.

Słońce ozłociło więzienną bladeść, muskuły odzyskały elastyczność, ramiona wytrzymałość. Cieszyła własna sprawność, podziwiał precyzję swoich ruchów. Czuł się tak, jakby po bardzo długim czasie odnalazł rzecz bezcenną. Po raz pierwszy od piętnastu lat przemierzał starą drogę.

Po upalnych dniach na trawach leżała rosa podobna do szronu, wieczorami woda dymila, parował oddech w powietrzu jak szkło. Łamał suche gałęzie, okładał szyszkami, przyglądał się płomieniom przemieniającym je w żar.

Przy ognisku zastała go straż leśna, przyłapała na podwójnym wykroczeniu. Złamał zakaz palenia ognia w lesie i rozłożył się obozem w miejscu niedozwolonym.

— Będzie płacił dziesięć tysięcy — strażnik wyciągnął bloczek, drugi przyswiecał latarką.

— Nie mam tyle pieniędzy.

— Nie dajemy na borg. Gotówka albo kolegium — powiedział strażnik, śpiewną mową tutejszych.

— Bądź pan człowiekiem — upomniął się. Od początku prowokował podobne wydarzenie. Specjalnie omijał oznakowane biwaki i wyglądał spotkania z kimś, kto utrwał w urzędowym kwitariuszu jego obecność na szlaku.

Apel poskutkował. Zamiast zawiadomienia do kolegium strażnik wypisał na jego nazwisko mandat kredytowy z nakazem wpłacenia grzywny w przeciągu miesiąca.

Wielkie Jezioro było złe. Miotła mętną falą, pluło pianą, pędziło żdźbła trzcin i wodorosty, zbijało przy brzegu w brunatne kłaki.

— Żabami rzuca — powiedział ktoś za plecami Alkora.

Odwrócił się gwałtownie, w huku sztormu nie słyszał, jak tamten nadszedł. Obok przystanął

mężczyzna w rybackich butach i nieprzemakalnej kurcie. Bił od niego zapach wędzarni.

— Węgorze. Wędzone. Kupi? — wymienił cenę.

Alkor zapłacił w ciemno, ale otrzymał dobry towar. Dostawca odchylił połę zawieszoną wewnątrz wiązkami brunatnozielonych ryb nanizanych na kółka z drutu.

— Dwa kila rzetelnej wagi — odpięty z haczyka, plasnął do podstawionej torby pęk węgorzowych tuszy złączonych pyskami.

Alkor mościł się w kajaku.

— Nie lepiej w stancyi przeczekać, mocno duje. Daleko płynię? — zagadnął dostawca.

— Na Kamień.

— Zaraz widać, dawno u nas nie był. Na wyspie zaprowadzili bobry i zakazali obozowania. Pływających, motorowych, piechocińców, cyklistów skomasowali na Skrzydle. Słyszał, wie, gdzie to jest?

Pod bezchmurnym niebem świeciło słońce, fala biła z boku. Płynął zakosami, stale dziobem ku nadbiegającym grzywaczom, żeby nie przewróciło łódki. Chlapało do środka, nie miał ochronnego fartucha do opięcia kokpitu. Wiatr szarpał wiosło, ściekające z pióra krople rzucał w twarz.

Uspokoilo się za zagięciem brzegu otulonego borem.

Wyspa kołysała się na wodzie z bukietem starodrzewia, na okręgu opleciona krzewami cukrowej róży, białała odziomkami pni spiłowanych w stożki. Z żalem ominął łagodną zatokę kipiącą roślinnością. Zgodnie z radą handlarza węgorzy skierował się ku szlakowi lasu na horyzoncie.

Na Skrzydle było prawie pusto. Tkwiły wciśnięte w krzaki: jeden namiot przy małym fiacie i polonez z przyczepą. Własne obozowisko, zdala od tamtych, także zaszył w gęstwinę.

Ranek nie przyniósł zmian. Wiało. Z czystego nieba ściekała patoka, zapalała złote łuski w płowej głębinie. Wielkie Jezioro rządzi się własnymi prawami, włada ziemią na obrzeżach, hojnie żywi roślinę, zwierzę, człowieka. Alkor wcześniej wybrał się na pocztę w Rudajnach. Po drodze znalazł się w innym klimacie: na duktach, na zagajach, na porębach dyszał upał. W puszczy dzwoniła cisza terkotem świerszczy.

Na poste restante czekał list od Iwy. Mieszka w domu takim i takim, we wsi pusto, kajak ze znakiem klubu turystycznego leży na łące pod trzcinami w opłotkach siedliska.

Zdecydował się. Nie będzie czekał na pełnię. Nie wiadomo jak długo potrwa wichura. Takie słoneczne, suche sztormy zapowiadają deszcz. Łada dzień nadciągną chmury, zasłonią niebo, legnie wiatr, noce staną się czarne.

Dzisiaj.

W nieprzemakalny worek zapakował nowe, nie noszone rzeczy i juchtowe buty. Dokumenty do wodoodpornej torebki. Zaświadczenie o zwolnieniu z więzienia przełożył do miedzka zawieszonogo na szyi. Ubranie z żaglowego płótna i drelichy złożył w kostkę z bluzami wyrwionymi na nice, aby uwidocznić na zielonym tenczu niezmywalną pieczęć więziennej szatni. Wszystko ułokował u wezłowia posłania i nie miał już niq do zrobienia.

Gdyby nie zaprawa na szlaku, byłby teraz bezradny, pomyślał słuchając nieustannego grzmotu Wielkiego Jeziora.

Zapadł ostatni wieczór pierwszej kwadry. Księżyc miał barwę cynobru i zlizany bok. Alkor zarzucił na ramię sakwę z rzeczami, zszedł na brzeg i zepchnął łódkę na wodę.

Płynęło się łatwiej niż poprzedniego dnia. Dęło w plecy, skosem z lewej burty. Przed nim leżało dziesięć kilometrów kipieli. Tyle w prostej linii dzieliło biwak na Skrzydło od Melisy.

Śmigał po fali.

W trzinach, koło płaskodennej krypy kolebiącej się na łańcuchu przykutym do pala leżał kajak z białym znakiem klubu turystycznego. Poprzez świst powietrza bardziej odczuł, niż usłyszał szelest stąpania na brzegu. — Iwa? — jego ściszony głos zabrał pódmuch i cisnął w głębinę. Nie było odzewu. Nasłuchiwał za osłoną zarośli. Nie ustępowało uczucie czyjejs obecności, skrytej po drugiej stronie roślinnego szpaleru.

Kłusownik? Wziął na hol czółno Iwy. Musi stąd natychmiast odejść, przesiadkę się na wyspie.

Twarzą w twarz ze sztormem posuwał się ciężko, jakby wprawiał w ruch naladowany furgon. Kajak zrobił się mało sterowny, przeszkadzał tamten, uwiązany z tyłu, a on musiał iść wprost pod wiatr i ani przez moment nie mógł pozwolić sobie na wythniczenie. Chwila nieuwagi groziła wyróceniem.

Dopłynąć do wyspy. Musi!

Coraz częściej grzywacze uderzające w dziób przelewały się przez falochron, zapuszczały do środka strumyki, pod nogami chlupotało, niebezpiecznie wzrastało obciążenie. Jeśli w złudnym świetle księżycza przeoczy Kamień, jeśli zmyli

kierunek, jeśli żywioł przybierze na sile, utonie. Strach pełznął z głębi brzucha, skurczem zaciskał gardło. Pocił się i ziąbł, drętwiały ramiona, łąwały oczy.

Nareszcie.

Z fluoryzującego mroku wynurzyła się plama cienia. Szybciej pracował wiosłem, każde zanurzenie pióra przybliżało wyciętą w czerni płaszczyznę o fantastycznie postrzępionych bokach. Płynął po cięciwie zatoczonego łuku, świetlista tarcza ukryła się za roślinnością, sączyła miedziany blask poprzez czuby drzew.

Wyspa zasłoniła od wichru, fale zanikały, płaskie karby słały się u stóp zatoki, połyskiwały ręciewo. I właśnie teraz chrupnęło coś za Alkorrem, z trzaskiem łamanego drewna pociągnęło wstecz. Obejrzał się na łódkę Iwy, tkwiła nieruchomo na wyprężonym holu, zaczepiona o leżący pod lustrem wody spłowany przez bobry pień.

Wyciągnął kajaki na brzeg skaleczył rękę o popękaną sklejkę. Ten zabrany z Melisy miał rozprute dno. Wyjął z worka suche ubranie i juchtowe buty, na ich miejsce wpakował zdjętą z siebie przemoczoną odzież i wsadził w dziób uszkodzonej łódki, odepchnął ją od wyspy aż po granicę martwej fali. Szybko brała wodę, pogryzła się przykryta pierwszym nadbiegającym grzywaczem.

Wylał wodę ze swojego czółna, ruszył na jezioro, znowu dęło w plecy skosem z lewej strony, uciekał od spienionych garbów, kajak uwolniony od balastu odzyskał zwrotność.

Księżyc zniżył się nad horyzont. Przygoda na pływacznicy zabrała kęs czasu. Musiał zdążyć do Melisy, zanim zapanuje przedranna ciemność, tym bardziej nie powinien zaskoczyć go brzask. Wyjął z zanadru i cisnął do wody dokumenty w gumowym ochraniaczu. Łup pochwyliły grzywacze. Podawany z grzbietu na grzbiet, przez jakiś czas gonił za wioślarem.

Spojrzał ku górze, nad flarami Wielkiej Niedźwiedzicy błyszczalo światło jego gwiazdy. Żegnaj Alkorze, witaj Klausie Koenig, pomyślał i odczuł żal. W pewien sposób tracił najbliższą osobę. O czym też myśli! Otrząsnął się, jutro odbierze paszport. Trzeba dobrze pracować wiosłem, żeby przed szarówką znaleźć się daleko od Melisy.

Odruchowo dotknął miedzka zawieszonogo na piersi. Jest. Ma pieniądze, na wszelki wypadek zachował zwolnienie z więzienia. Zniszczy je po otrzymaniu nowych dokumentów. Ma buty.

Obok płaskodennej krypy kolebiącej się na uwięzi, w trzcinach leżał nie znany kajak. Najgorszy wydał się Iwie emblemat, sylwetka ptaka przypominającego kaczkę i napis KIT Nurek. Nie wzmówi przystaniowemu w Dworczyku, że wydał właśnie tę łódkę. Trudno, przemaluje godło.

Daremnie objechała Suwałki i Augustów. Wszędzie lakier albo właśnie wyszedł, albo miał nadejść. Dopiero ktoś ulitował się nad naiwną kobietą poszukującą farby w sklepach z farbami zamiast u źródeł, czyli tam, gdzie się coś właśnie maluje.

W taki sposób Iwa trafiła do konserwatorów sprzętu wodnego. W hangarze dwaj panowie na jej widok przestali zalepiać dziury w „Omedze” i okazali się niezwykle mili. Odlali do butelek po bełcie, zielonego i białego emolaku oraz zaprosili na nocne życie do „Kormorana”, lokalu z wyszynkiem i dansingiem.

Wymówiła się mężem, panowie posmutnieli i jakby pożałowali czynności.

— Kurde, ładne to zawsze obstawione, kurde — zamruczał pan z rysunkiem barkantyny w pełnym takielunku, na nagim torsie. Kiedy pracował, żagle wydymały się, barkantyna płynęła przez pagóry mięśni.

Iwa uniosła beczenne flaszki, pod zielonym kolorem ukryła wszelki ślad napisu KIT Nurek, białym przywróciła własność klubowi turystycznemu.

Przystaniowy w Dworczyku nawet nie spojrział na kajak, tylko kazał odstawić pod wiatę. Siedział w cieniu, unikał nadmiernego wysiłku, podobnie jak przed kilkoma dniami był średnio zamroczony, jakby automatyczny dozownik utrzymywał stałą alkoholową w jego krwi.

Iwa pozostała w Melisie do ostatniego wolnego dnia, zgodnie z przyrzeczeniem danym Alkorowi, chociaż on sam wydawał się coraz mniej rzeczywisty. Wspomnienie sprzed siedmiu lat, które pojaściło się i znikło jak zjawą. Przeminał. Czuli się wolni.

Zanim odjechała, dotarła do niej wieść z Wielkiego Jeziora.

Ucichł wiatr, zaciągnęły chmury, rybacy wypłynęli sprawdzać sieci i wyłowili zaczepioną o haczyk na węgorkę nieprzemakalną torebkę z dokumentami na nazwisko Alkora.

— Jakowijś z kryminału odpuszczony na chorobę, papijery postradał — przyniósł nowinę gospodarz.

— Utonął?

— A kto jego wije. Może się i utopił, a może tylko wywróciło i manatki pogubił. Póki co posterunek meldowanija sprawdza. Pomału dojdą żyw czy topielec.

Do końca pobytu nie już o wydarzeniu nie usłyszała.

Do Warszawy wracała w niepogodę. Siąpiło, wiało chłodem. Pod Ostrowiem Mazowieckim samochód zawarczał jak dwa odkurzacze i zamarł. Zanim dotarła do najbliższego warsztatu, zanim wyprosiła przyholowanie i reperację, zrobiło się późno. Nie wstępując do domu pojechała do Varsovii, pozostało akurat tyle czasu, żeby się ogarnąć i przygotować do występu.

Wieczór już trwał. Aperitif-bar, klub hotelowy, nocna dyskoteka, sale restauracyjne szumiały jak pszczela węża, w kuchni szczyt, biegali kelnerzy, płatniczy, kredencarz. Na podium coś tam wyciągał z cylindra iluzjonista, w następnym numerze tańczył duet, a po nim ona. Drugi występ czekał ją po północy.

W domu zauważyła pewien nieporządek. Czegoś szukano, lecz jakby w połowie zniechęcono się lub odkryto pożądaną przedmiot, i zaniechano myszkowania. Droge szperaczy znaczyły przestawione drobiazgi, porzucona książka, przewrócone rzeczy w szufladzie. W salonie podniosła z podłogi album z naderwanym grzbietem i wgnieceniem od obcasa na okładce z zielonego pluszu. Przerzuciła sztywne karty, naklejone na nich zdjęcia nie doznały szwanku. Zatrzasnęła klamrę spinającą oprawę i odłożyła księgę na gzyms kominka, chociaż jej miejsce było w szufladzie.

Runęła spać.

Rano w drodze po zakupy natknęła się na jakąś dziewczynę, wionęły mocne, za mocne perfumy. Dziewczyna minęła furtkę domu Alkora i przyspieszyła kroku.

W sklepie oczekując przed kasą, przywołała obraz gdzieś już widzianej twarzy. Dlaczego nikt im nie powie, tym dziewczynom, żeby z rana nie oblewały się perfumami, nie kapały pastelą albo

tuszem, pudrem, myślała leniwie, poszukując w pamięci, gdzie już spotkała te egipsko przedłużone powieki i ładne, za szerokie usta.

A jeśli one, te przesadnie umalowane dziewczyny, nie mają dokąd pójść po zmierzchu, siedzą w kapturach przed telewizorami i gryzą słone paluszki, czekając dnia z nadzieją na spotkanie mężczyzny, przychylności szefa, podwyżkę, a rano znowu obnoszą twarz jak maska klauna.

Do domu wracała okrężną drogą, uliczkami przypominającymi alejki pośród zadbanych ogrodów willowej enklawy. Żeby się przejść, żeby odetchnąć, żeby odwlec chwilę zamknięcia za sobą drzwi pustego domu. O sobie myślała, nie o umalowanych dziewczynach. To ona przesiaduje w czterech ścianach, w granicach parkanu jak w zakętym czworoboku.

— Czekam na ciebie, dziewczusko — pod furtką stała kobieta. Lśniący hełm tlenionych włosów, rzęsy przyklepione bez zarzutu, brzoskwińowa karnacja z drogiego mastyksu. Diamentowe rauty w uszach. — Chyba nie będziemy tu stały?

— Czego pani sobie życzy?

— Zobaczyć Alkora — zamigotały jej kolczyki, długie promienie dosięgły twarzy Iwy.

— Nie znam — odpowiedziała nie swoimi wargami.

— Wyglądam na kogoś, kto gra w ciemno?

— Nie wiem, o czym pani mówi.

— Masz szczęście, dziewczusko, że pewnym ludziom nie zależy na zawiadomieniu Glinowa o twoim trudzie nad Wielkim Jeziorem. I nie pytaj, skąd wiedzą. To są rzeczy rutynowe. Posłali za Alkorem Kukułkę, on sam ich naprowadził.

W tej chwili przypomniła sobie, gdzie już natknęła się na tamtą dziewczynę z egipskimi oczyma. Również w pobliżu domu w dniu powrotu Alkora. Wyszła wtedy po pieczywo, bo w domu miała tylko sucharki. Dama z rautami w uszach także najpierw przystała Kukułkę, aby dopilnowała, kiedy się Iwa pokaże, bo na dzwonek mogłaby nie otworzyć.

— Później wystarczyło już tylko uważać na ciebie, dziewczusko, co było łatwiejsze, niż obserwowanie Alkora. Jak widzisz, nie jestem gołosłowna.

— Proszę wejść.

Dlaczego Kukułka? — myślała Iwa. Alkora wytropiła Kukułka. Jakież to proste. Lata ukrywania się, powściągliwych zdań wysyłanych via Berlin, później wystarczy jedna przesadnie umalowana dziewczyna.

— Więc to jest jego scheda — dama rozejrzała się po salonie. Poglądziła olicowanie kominka, przyjrzała się żyrandolom i kinkietom.

Iwa milczała.

— Nie jest to siraz ani buchara, nawet nie afgan — macała dywan — fabryczny, austriacki, średnia jakość. Posłuchaj dziewczusko, może i nic we wszystko jesteś wprowadzona, lecz Alkor jest ludziom coś winien. Radzę rozliczyć się po dobru.

— Proszę to powiedzieć Alkorowi.

— Właśnie mówię, a ty jemu powtórzysz.

— On utonął na Wielkim Jeziorze.

— Popatrz, Glinowo jeszcze nie wie, a ty już wiesz. Można pomyśleć, że mu pomogłaś bardziej, niż sam chciał. Coś tak pobladła! *Cui prodest*, kto korzysta, *cui bono*? Pierwsze pytanie jakie zadaje sobie prokurator, a kto w tym przypadku korzysta? Ty dziewczusko, ten piękny dom jest na ciebie.

— To mój dom.

— Tak nisko mnie cenisz? Uważasz, że nie kojarzę nawet tyle co średnio umózgowiony urzędnik skarbowy. Hipoteka na osobę uzależnioną, na rozwiedzionego współmałżonka, na kogoś naprawdę zaufanego. Ograne sposoby frajerów na lokatę garbatych pieniędzy. Wystarczy jeden telefon i skonfiskują nawet to, coś uskladała pracując w szolbiznesie, nie wspominając już o odpowiedzialności karnej za współudział w kantowaniu.

— Dlaczego więc nie telefonujesz?

— Ludzie chcą odzyskać, co się należy. A ty dziękuj Bogu, że chcą, w przeciwnym razie gorzej byś wyszła niż jego narzeczona. Słyszałaś o niej, nie? — dama przyglądała się gobelinowi wiszącemu na ścianie.

— Słyszałam, nie jestem zazdrosna, Alkor mnie nie obchodzi.

— Dlaczego więc kręcisz, mów gdzie się schował. Niczego innego nikt od ciebie nie chce.

— Wyjechał za granicę.

— Rozumiem. Chcesz wszystko. Wszystkiego nie utrzymasz — dama przestała badać wartość tkaniny i przeszła dalej. Poglądziła album z aksamitną okładką leżący na gzymsie kominka. Zaszeleściły karty.

Iwa nasłuchiwała odgłosu przekładanych stron z fotografiami, ale nie spojrzała nawet w tamtą stronę. Nie zwracać uwagi, jeśli to przypadek, dama odłoży księgę.

— Posłuchaj dziewczusko, Alkor ma się odna-

leżę, powiedzmy w przeciągu tygodnia. Później podział zostanie dokonany bez niego. Jeśli będziesz mogła oddać dwukrotną równowartość nieruchomości w walorach, łatwo zbywalnych przedmiotach wartościowych, złocie lub kamieniach, dom pozostanie przy tobie, w przeciwnym razie przyjdą poborcy.

— Wasza sprawa. Ja nie mam z tym nic wspólnego — domyśliła się, kto poszukuje Alkora, chociaż nigdy nie wspominał o współnikach.

— Nie życzę ci źle, dziewczuszko, ale pieniądze muszą powrócić do wierzycieli. Świadomie czy nie, znalazłaś się w określonym świecie, innym niż szolbiznes, chociaż i tam nie brakuje łobuzów. Trafiłaś pod linię zero. Tu się nie chodzi po sprawiedliwość do sądu ni po ochronę na Glinowo, nie wystawia i nie protestuje weksli u komornika. Przecież jednak jakaś równowaga musi być. Właśnie od tego są poborcy. Profesjonaliści, żyją z procentów od ściągniętych długów, nie bawią się w subtelności.

9

Pociąg z czeluści wytoczył się w jasność. Minęły ostatnie filary tunelu, nadbiegły światła podziemnej hali, tablice informacyjne, lśnienia srebrzystych ekranów telewizyjnych po skończonej emisji, wzniesionych ponad ludźmi śpiącymi pokodem w przeszklonych poczekalniach.

Skład grzechocząc złączami zatrzymał się ze zgrzytem ścieranego metalu. Szambelan wyskoczył z wagonu, na peronie gęstniało, podróżni kierowali się ku ruchomym schodom, lecz w łóżykach osłon z poręczami, zamiast nich, znajdowały się gładkie pochylnie. Głowy, torby, ramiona, walizy, toboły sunęły po nieruchomej stromiznie.

Szambelan rozejrzał się po opustoszałym peronie. Nikt na niego nie czekał, zarzucił plecak na ramię, idąc ku zamaryłym schodom zaglądał przez szyby w twarze śpiących w poczekalniach. Podłużne tarcze zegarów obojętnie dziergały elektroniczne sekundy.

Alkor uprzedzał, prawdopodobnie po niego nie wyjdzie. Niechaj nauczy się na mapie, jak trafić do Młocin, ale Szambelan daremnie próbował

zdożyć plan stołecznego miasta. Na warszawskim dworcu już nawet nie szukał czynnego nocą kiosku.

Na postoju taksówek tkwił tłum szpikowany bagażem. Zajeżdżające auta z podświetlonymi wignetami: *taxi*, lokowały się na parkingu, za przednimi szybami wyskakiwały białe fluoryzujące napisy: *zajęte*, inne z wygaszonymi światłami czały się po ciemnych załomach placu opasanego estakadą, jeszcze inne dyktowały kierunek:

— Tylko na Żoliborz, Ochotę, Pragę...

— Młociny, Alabastrowa — powiedział Szambelan do kierowcy fiata, który nie stawiał warunków.

— Nie pojedę. Jeszcze mi życie miłe.

— Panie nie znam miasta, jest noc.

— Właśnie, noc! Suń się pan, następny wsiaść — odjechał kilka metrów, w ślad ciężko truchtały objuczeni ludzie.

Zabrało go radio-taxi.

Szambelan wysiadł przy pętli autobusowej w pobliżu Uliczki, zgodnie z umową zapłacił podwójny kurs. Począł, aż tamten odjedzie i poszedł wzdłuż parkanów wypatrując warsztatu i dwupiętrowego klocka o elewacji z potłuczonego porcelitu.

Powiew wiatru od ogrodów poruszył blaszana tablicą. Na szyldzie widniało nazwisko Blacharza. Zawrócił, przy narożnym słupie parkanu odnalazł przeciętą siatkę, rozgiął spinający drut. Za płotem plenił się maliniak. Wyplątał się z kłujących objęć, na tle rozrzedzonego mroku zobaczył czarny kontur domu i bardziej odczuł, niż dojrzał, czyjąś obecność. Najbliższe źródło światła — latarnia, znajdowała się na wysokości zakładu Blacharza. Nasłuchiwał. Ciszą. Ostrożnie postąpił ku bryle budynku. Poruszył kławką, ustąpiła. Drzwi nie były zamknięte.

„Jeśli mnie nie zastaniesz” objaśniał Alkor poprzez trzaski na telefonicznych łączach „klucz znajdziesz po lewej stronie wejścia pod ruchomą cegłą”. Niepewny czy dobrze odebrał ową informację, obmacał mur, tuż nad ziemią jedna z kostek usunęła się pod naciskiem ręki, palce namacały chłodny metal.

Za plecami usłyszał przeciągłe westchnienie i suchy odgłos rozdieranego materiału. Odwrócił się gwałtownie, od leżącego opodal plecaka odskoczył pies. Warknięcie zabrzmiało jak skarga.

— Poczuleś wędzonkę, skubany — podniósł bagaż i wszedł do domu pozostawiając uchylone drzwi. Zwierzę nie ruszyło za nim,

ale i nie uciekło, zapach mięsa przykuł je do progu.

Przy płomyku zapalki spostrzegł lampę zwisającą ze stropu i znicz nagrobny na stole. W jego świetle rozeznał się w prowizorycznej instalacji, rozbiły żarówka.

Zdmuchnął kaganek i rozejrzał się po pomieszczeniu. Nisko nad głową betonowa powłoka, ściany z nagiego ciosu, na cementowej polepie ryżowa mata, blat na krzyżakach przykryty ceratą, krzesło, pod kranem wanienka zamiast zlewu z gumowym węzłem wyprowadzonym przez dziurę, na ramiączku ubranie okryte prześcieradłem. Drewniane łóżko zasłane kocem w podpince z barwnego perkalu. Pościel nie była brudna, nie wałały się śmieci, tylko po kątach leżały wełniste kępki kurzu. Olbrzymi pajak czatował w zagłębieniu kamieni zlepionych zaprawą, stamtąd ciągnęła się zmatowiała nić, zaczepona o uchwyt elektrycznej płytki.

Tchnęło nieobecnością człowieka.

Może zostawił do mnie list, pomyślał Szambelan. Obszukał izbę, znalazł skrajkę skwitłego chleba i szczyptę herbaty. Włączył wtyczkę kuchenki do rozdzielacza przy lampie. Zarumieniły się spirale, postawił garnuszek z wodą. Sięgnął do plecaka, zobaczył przegrzybony materiał, przypomniał sobie o czworonogu.

Pies nadszedł bezszelestnie, zatrzymał się pod samymi drzwiami, weszyl z uniesionym łbem, ślepa fosforyzujące zielonkawo patrzyły w pachący toból, spod skołtunionej sierści płątanej z nowym odrostem sterczały żebra.

— To on, dolony, tak cię zamorzył? — pies uskokczył spod dłoni, w krtani przetoczył się grzmot. — Już ja mu, dolonemu powiem, za kogo trzymam dolonych, co o żywe stworzenie nie stoją — wypakował chleb i sój z smalcem, nasmarował pajdę, zawahał się, odciął plaster boczku, położył na skibę, kroił w kostkę i rzucał na podłogę.

Pies porywał, tykał w biegu ku drzwiom i znowu wracał. Ostatnie kęsy jadł siedząc. Obserwował przekrzywiając łeb, jak człowiek odkrawa kolejny kawałek.

Zakapiał wrzątek. Szambelan zalał napar, cukru nie było. Pies wpatrywał się w człowieka. Po każdym przelkniętym przez niego kęsie obliżywał pysk.

— Jak jadłeś, ja tobie do brzucha nie zaglądałem, chcesz jeszcze? Dostaniesz, ale bez boczku, są trudności mięsne. Wiesz?

Z bochenka nie pozostawili nawet kromki. Szambelan zawiązał plecak i zawiesił na klamce okna. Wyplukał garnuszek, pies wspiął się na brzeg wanienki, chleptał wodę, roniąc kropki ściekające ze skudłonej kozłej brody, obiegał kąty, weszyl, unosił głowę i spoglądał na Szambelana.

— Ty mnie pytasz, dokąd jego poniosło? Nie mam pojęcia, gdzie się podziewa, dolony. Lepiej byś powiedział, w czym on się tutaj myje, w tej zlewo-balii, czy może w kubie? — Szambelan złożył ubranie na krześle i zdecydował się na wiadro.

Pies legł na macie, położył łeb na wyciągniętych łapach i nie odrywał oczu od człowieka. Szambelan odchylił koc na legowisku tamten wskoczył i zwinął się w kłębek.

— No nie, chcesz wmówić, że on wpuszczał ciebie do łóżka! Za kogo mnie masz? Ty tylko popatrz, jak wyglądasz. Nie pasujesz do odszowanego gościa. Nie lyp, rusz się!

Pies ziewnął, podniósł się ociężale, opuścił przednie łapy na podłogę i znieruchomiał, jego druga połowa próbowała zostać w pościeli, wreszcie jednak zsunęła się na ziemię.

Szambelan obudził się wcześniej. Pies wylegiwał się w nogach pościeli, wstał razem z człowiekiem, bezwstydnie przeciągnął i znowu asystował przy myciu i ubieraniu, odprowadził do przesieki w maliniaku i zawrócił pod próg.

Nocą koło pętli autobusowej Szambelan zarejestrował obok wystawy pawilonu handlowego budkę telefoniczną. W dziennym świetle okazała się ruiną. Wyrwane z zawiasów drzwi wałały się na ziemi, zwiślał sznur od odciętej słuchawki. Ale młody, niezłe prezentujący się mężczyzna, zawsze spotka pomocną dłoń. W sklepie ekspientka nie tylko ofiarowała mu papierowy worek, żeby miał w czym zabrać zakupy, ale również bezinteresownie udostępniła telefon.

Towarzyszy z celi nie zastał w domu. Medyk wyjechał do Sopotu, powiedziała jego gospodyni, zaś Łukasz miał powrócić za trzy dni, poinformowała matka inżyniera.

Szambelan żuł rozczarowanie. Nie ma nawet drugiego do butelki, którą wiozł szmat drogi. I kindziuk zabrał, dolonym, najlepszy kindziuk jaki robiono na wschód od Warszawy, a te dolone, rozlały się jak pchły ze zdechłego kota.

Pies wynurzył się z zarośli, zawachlował ogonem podobnym do stosiny z postrzępioną chorągiewką i poczłapał za człowiekiem. Szambelan rozłożył przyniesione produkty, dał stworzeniu

kawałek kaszanki i poszedł do Blacharza. Złość, złością, ale przecież mogą wiedzieć, gdzie podziawa się sąsiad. W osadzie Szambelana ludzie najwięcej wiedzieli o swoich wrogach.

— Dzień dobry — przystanął w progu warsztatu i zapytał o Alkora. W kanale krzątał się mężczyzna, drugi w uszmelcowanej krymce zrobionej z filcowego kapelusza bez ronda pracował przy silniku.

— Nie chcę słyszeć o tym sysysynu dolonym, mamusia jego pieska niebieska, pomarańczowa — wrzasnął facet w krymce.

— I po co tak zaraz serdecznie, i po co wypominać pieszczoty starszej pani. Świat drogi ze wsi nawiniętem, człowieka nie zastałem, myślę, zajrzę obok, może się czego dowiem.

— Po co się z takim, dolonym, zadawać!

— Za interesem przybyłem.

— To złodziej dolony, siedem lat kumykał, a na dziesięć zasądził. Z takim pan chce interesy robić. Uciekaj człowieku, póki cię nie okradł, nie oszwabił, nie zgnoił i z torbami nie puścił.

— Panie majster, ja tylko tak głupio wyglądam, ale biedny, kto mnie zechce naciąć — powiedział Szambelan dla podtrzymania konwersacji.

— Tamten dom stoi na mojej posesji i jak kto w nim śpi, powinien się u mnie meldować — powiedział majster.

— Dopiero w nocy przyjechałem — usprawiedliwił się Szambelan. Przez tę swoją krechę w życiorysie nie mógł się Blacharzowi nawet po przodkach przejechać.

— Jak pan wszedł, skoro tamtego nie ma?

— A pan co, ormowiec, na pół etatu u dzielnicowego? Drzwi były niezakluczone, ale tu życzliwi ludzie w tej stolicy.

— Wiesz pan, ile mnie kosztowała życzliwość dla tego sysysyna! — wrzasnął majster, ale już bez niedawnej złości.

— Ja panu krzywdy nie zrobiłem. Mam sprawę do sąsiada, bo obiecał załatwić cysterne, chcę dopasować do podwozia bajadery.

— Toś pan z branży?

— Ano, tak jakby.

— Niedawno jego widziałem, może ze cztery dni temu — wydobyl się z kanału drugi mężczyzna.

— I nawet nie wspominałeś, Hef??

— Żeby się majster znowu ciskał.

— No to czołgiem, panowie — pożegnał ich Szambelan.

— Co on powiedział? — wyrzwał za nim Blacharz.

— Teraz taka moda. Zamiast czołem, młodzi mówią czołgiem.

— Albo on taki młody.

— Nie więcej niż trzydziestka.

— Jak miałem te lata, już byłem obabiony i dzieciaty, dom pod dach windowałem. Wszystko z pracy ręk, a tu taki wrzód, zwyczajny worycha na moim gruncie się rozpiera, jeszcze gości sprasza!

— Ja na pana micjescu nie zrażałbym człowieka.

— A co takiego powiedziałem!

— O tym meldowaniu i w ogóle.

— Śmieszne, przecież nie będę na niego szczuł.

— Ale on o tym nie wie.

— Może i głupio wyszło.

— Nie najmądrzej. Chce pan na Alkora bat upleść? Chce. A co pan na niego ma? Nic. I popędza pan kota gościowi, od którego mógłby pan łatwo usłyszeć to i owo. A jeśli jemu też Alkor skrewił, miałby pan wsparcie.

— Złego słowa na łajdaka nie rzekł.

— Miał wejść i zacząć od sysysyna dolonego? Zresztą pan mu do słowa nie dał dojść i z punktu ustawił się sztorcem.

— Może i niepotrzebnie wsiadłem na człowieka, ale jak słyszę o tym sysysynu dolonym, mam czerwoną mgłę w mózgu. Pochyło poszło. Fakt.

— Niech pan po sąsiedzku zajrzy do niego i odkręci sprawę.

— Za nic! Nie daj Bóg spotkam dolonego sysysyna. Mnie się nie godzi tam chodzić, póki nie odzyskam parceli. Wtedy zabronię przejścia przez moją ziemię.

— Jeśli pan chce, mogę załagodzić.

— Nie powiem, nie.

— Na pana miejscu dałbym jemu zarobić skoro facet ma zamiar czekać na tamtego. Jak się razem robi, to się gada i butelkę rozgniecie, a i przyda się panu zastępstwo zanim pomagier wróci z urlopu, i nie musi pan nigdzie zgłaszać, przez parę dni ujdzie za przyjeźdną z prowincji dalszą familię.

— Dobrze mówisz, tylko jaki masz w tym interes?

— Nie lubię, kiedy cała para idzie w gwizdek. Jak tę energię co ją pan zużywa na wrzaski mądrze pokierować, można i plac odzyskać i wroga ujać.

Hef czekał przerwy obiadowej, ale co i raz

wyglądał na ulicę. Gdzie by się obcy nie ruszył, musiał przejść koło warsztatu. Po drugiej stronie parkanu dziury nie było. Hef dobrze wiedział, obszukali z Płowym posesję i piwnicę, tylko dlatego sprzedał się Blacharzowi na trzy dni w tygodniu. I jak się okazało zapomnieli zamknąć drzwi. Ich roztargnienie, czy balon gościa? Otworzył kluczem, albo jak oni — wytrychem. Zresztą grubszy drut też temu zamkowi poradzi.

Co on tam robi. Nienormalne. Młody mężczyzna po przyjeździe ze wsi do Warszawy, siedzi w suterenie, gdzie nie ma żywego ducha i czeka. Już prędzej szuka. Nie daj Bóg z lepszym szczęściem niż oni z Płowym. I Hef zmienił zamiar. Nie odszedł od Blacharza w najbliższych dniach, postanowił pilnować podejrzanego gościa.

Wyjść, zwiedź Pałac Kultury, idź do Domów Centrum, pójdz na dziwki, na wódkę, tylko nie siedź jak kret, przemawiał do niego myślą, ale tamten nie pokazał się na Uliczce.

Kiedy Blacharzowa zawołała męża na obiad, Hef porwał swoje zawiniątko z prowiantem i pośpieszył ku dziurze w płocie, kiedy usłyszał znany, monotony charkot. Warczał bezpański pies, przygarnięty przez Alkora.

Zawsze gdzieś leżał niewidoczny, zaszyty w gęstwinie. Nie pozwalał do siebie podejść, kiedy zanadto się z Płowym zbliżali, szczyrzył kły zachłystując wściekłością i głębiej nurkował w zarośla. Rzucali kawałki chleba, czekał póki nie odeszli, porywał jedzenie i tak samo szybko na powrót uciekał w krzaki. Nigdy nie przyszedł do ręki, nie dał się zwabić za próg. Nie ufał im przez Płowego.

Działal Płowemu na nerwy, nie wiadomo dlaczego. W ogóle nie miał nic przeciwko psom, po odzyskaniu działu planował nawet kupić beżowego afgana. Ale tego włóczęgi i żebraka nie znosił coraz bardziej, aż zaczął chodzić z pętlą, aby przywabić i zrobić z nim koniec.

Pewno przejrzało go to zdziczałe stworzenie i nie pozwoliło się podejść nawet na mięso. Bo gdy nie powiodło się z postronkiem, Płowy przyniósł ochlap nasyczny trutką, ale ten głodomór, ta żyjąca skóra na czterech piszczelach co żarła ziemię, jeśli tam skapnęła kropla tłuszczu, nie tknęła niebezpiecznej habaniny. A teraz, nie do wiary, leżał w cieniu blisko obcego i grzmot przewalał się w jego gardle.

— Znalazłeś sobie pana — Hef wyciągnął rękę z kęsem bułki i ledwo zdążył wysoko poderwać ramię. Pies skoczył, kły przebiły powietrze.

— Leżeć Kudłacz! — pies rozpląszczył się na ziemi, szorując brzuchem i zamiatając ogonem pełznął ku Szambelanowi.

— Falszywe bydle — odął się Hef.

— Zabiedzona istota, człowiek czy zwierzę, nie taki numer potrafi wykręcić. Nie dziabnął pana? Nie. To siadał pan.

Pies doczłogał się do zarośli i umknął w gęstwinę.

— Blacharz mnie przysyła. Jemu głupio za ten poranny występ — wcale nie tak chciał zacząć, ale epizod z czworonogiem zwarzył Hefowi nastrój. Ilekroć widział owo zamorzone stworzenie z sierścią powiewającą jak podarty filc, czuł się nieswojo, więc pozostawiał chleb i odchodził. Teraz przez tę nędzę zachował się niezręcznie wobec jedynego, odkąd mógł zaobserwować, gościa domu narzeczonej. A ta bryła mięsa pośledniego gatunku, jak początkowo ocenił Szambelana, albo rzeczywiście przyjechała po części, czy co tam, do samochodu, albo po zupełnie coś innego, sztuka przebiegła tym groźniejsza, bo silna. Obcy odnosił się nawet przyjaźnie, lecz odpowiadał monosylabami, niczego nie dało się z niego wyciągnąć, bodaj od jak dawna zna Alkora.

— Jeszcze sprzed więzienia. Kindziuk u nas kupował. Dobry kindziuk rzadkość. U nas z ojca na syna umiętność przechodzi — Szambelan instynktownie unikał wyrażań zła murów, za to swobodnie roztoczył uroki wieprzowiny przesyconej aromatem ziół i dzikiego czosnku, kruszejacej w przewiewie, aż pęcherz w jaki jest nadziana, pokryje warstwa soli i białego nalotu podobnego do pyłkowej mąki.

Stolica go nie ciekawi? Czemu nie, ciekawi. Ale już nie pamięta, kiedy letnią porą mógł przez cały dzień pobyczyć się w chłodzie. Długo zamierza tu być? Sam nie wie, musi poczekać na Alkora. Jeśli chce może u Blacharza dorobić, czeladnik na urlopie, a roboty nie mniej. Części do przerobienia bajadery na gówniarkę też pomogą zdobyć, jeżeli Alkor się nie wywiąże albo nie pojawi.

Dlaczego miałby nie przyjść, skoro tu mieszka?

Wątpliwości powstały dopiero po kilku dniach, kiedy zobaczył się z Łukaszem.

— Przyjechałeś, nie zawiadomiłeś i sypiasz po jakichś norach, dlaczego, Szambelan?!

— Dzwoniłem, nie zastałem. Miałem powiedzieć twojej matce, proszę mnie wziąć na przechowanie, bo garowałem z pani synem?

— Ona cię zna z opowiadań. Mówiłem o tobie. Jedziemy po rzeczy.

— Przybłąkał się do mnie pies.
— Znajdzie się miejsce dla ciebie z psem.
— Niezupelnie mój, Blacharz mówił, że Alkor podniósł go gdzieś z bruzdy w polu i odkarmił, bo zdychał z głodu. Podobno latem w Warszawie dużo takich stworzeń. Blacharz sam ma dwa i jak jedzie do miasta, nie rozgląda się na boki, bo nie chce mieć więcej. Sznuruje takie wielmożne państwo, dolone, na wczasy, a swojego psa wyrzuca po drodze.

— Zabierzesz kundla do nas.
— Zgodziłem się u Blacharza do roboty, stamtąd mam blisko. Nie gmeraj za parkanem — przytrzymał rękę Łukasza sięgającego po portfel — nie jestem goły, ale skoro zacząłem, powinienem rozbabraną robotę skończyć i chciałbym się dowiedzieć, na czym im zależy, zwłaszcza Hefowi.

— Powiedziałeś, Hefowi?!
— Tak go wołają, Hef.
— Jak on wygląda? — Opis się zgadzał. Ten sam Hef przywoził z Wybrzeża do Warszawy gros przytasczony przez Wielbłądy, dostarczał detalistom i miał za złe Chrzestnej, że uważa go za zbyt starego, aby posyłać za granicę.

— W domu narzeczonej ślad po Alkorze wystygł, pająki rozsunęły sieci, Hef może się nawet domyśla lub wie, gdzie tamten, ale najbardziej nurtuje go stopień mojej zażyłości z Alkorem i łączące nas interesy. Na czymś mu cholernie zależy, tylko nie mogę zmonać, na czym.

— Po kolei, masz ten list od Alkora?
— Wyrzuciłem. Nie zbieram, jeśli nie od dziewczyny.

— Co pisał?
— Mętnie. O pilnowaniu domu, wyglądało na cykora, na dużego cykora. Chodzą za nim, źle mu życzą, chcą zniszczyć. Proponował mi tyle miesięcznie, ile wynosi akord drwała. Oprócz tego obiecywał możliwość dorobienia, plus widoki na mało używaną gówniarkę zamiast przystosowanej bajadery.

Szambelan z pomocnikiem jeździli dobre kilka lat na adaptowanej bajaderze i wszyscy byli zadowoleni. Do czasu. Kiedy zięć naczelnika kupił szambowóz, a klienci przywykli do Szambelana nie oblegali nowego przedsiębiorcy, gmina cofnęła Szambelanowi licencję, za główny argument posłużyła przerabiana śmieciarka. Odwołania nie pomogły.

Szambelan zamknął się z transporterem wódki i pił. Po wytrzeźwieniu poszedł do ścinki. Tak naprawdę wyboru nie miał. Jego osada: gmina, poczta, szkoła, kościół, posterunek, gospoda i nadleśnictwo, leży w puszczy, młody mężczyzna może albo wyjechać, albo pracować przy drzewie, niekoniecznie przy wyrębiec, las potrzebuje różnej usługi.

Szambelan nie chciał porzucić domu, został drwalem. Wyciągał i trzydzieści miesięcznie, a pięć lat temu złotówka była cięższa. Lecz nie miały smaku ni zarobek, ni dziewczyny, ni gorzalka. Żarło Szambelana pragnienie zemsty, aż wykręcił niechich numer. Pewnego wieczoru podczas zabawy w nadleśnictwie rozłożył na elementy daczę naczelnika.

Naczelnik miał tyle wrogów, ile włosów na głowie, a pies tropiący donikąd nie doprowadził. Szambelan nie palcem robiony, rzeką przyszedł i rzeką odszedł. I tak postawił pierwszy krok na złej drodze.

Następnym razem już nie niszczył. Kradł. Dobrał dwóch pomocników ze swojej brygady, wysokie zarobki przez długi czas ich oślaniały, a oni po robocie golili posiadłości. Zdążyli obrać lennie siedziby całego gminnego establishmentu i zdrowo podkosić wojewódzki, gdy dopełniła się miara. Nakryli ich w daczce szefa okręgowej gastronomii i hotelarstwa.

Podczas konfrontacji poszkodowany wypierał się w żywe oczy własności odnalezionej u Szambelana: obrusów i bielizny pościelowej ze stemplami podległych dyrektorowi karawansrajów i knajp, zaś inny, szef domu towarowego nie przyznawał się do dwóch kolorowych telewizorów i znacznej liczby zmechanizowanego sprzętu gospodarstwa domowego ze swojej daczki, jeszcze inny odżegnywał się od dywanów. Nie ich. Pewno ten złodziej nie pamięta, gdzie rabował, zaś teraz rozdziela wedle kompetencji poszkodowanych, a może umyślnie cięń niesławy na nich rzuca. Zapączkowały czyny Szambelana. Prokurator parę nowych dochodzeń pozakładał.

Kiedy Szambelan wrócił z więzienia, po tamtym naczelniku ślad zarósł. Teraz obiecano licencję, tylko nie bardzo miał za co ręce zacześcić, wszystko poszło na grzywny i rekompensaty za skradzione mienie. Jedynie dom się ostał, zbudowany przez ojców, kiedy Szambelan dopiero na świecie się zaczął. Powrócił do ścinki, wyciągał i czterdzieści tysięcy na miesiąc, lecz obecnie gówniarka kosztowała znacznie więcej.

— Sam rozumiesz, jak dostałem od Alkora list, natychmiast odpowiedziałem: *przyjeżdżam pod koniec miesiąca, po rozliczeniu u leśniczego*. Na co z poczty dostałem wezwanie do telefonu z przywołaniem. Wtedy Alkor podał adres, zaznaczył, jeżeli go nie zastanę, mam czekać aż do skutku, otrzymam wiadomość jeśli nie osobistą to pismną. Telegraficznie nadał zaliczkę. Otrzymałem przekazem dwadzieścia tysięcy.

— Na jaki adres wysyłałeś list?

— Urząd pocztowy, taki a taki, poste restante. Blisko Uliczki, teraz sprawdziłem, gdzie to jest. Więc siedzę i stróżuję, skoro dostałem nawet zadatek. W tej sytuacji z samych nudów wziąłem fuchę u Blacharza, tylko nie rozumiem, co w domu narzeczonej jest do pilnowania.

— Żebyś się tylko w co nie wplątał, Szambelan.

— Nie mój ból, robię za najmitę, mnie nie obchodzi, skąd Blacharz bierze serwis, zresztą on na zimne dmucha, kradzionego nie kupuje.

— Myślę o Alkorze, co powiedziałeś o nas Hefowi?

— Nic.

10

Znowu siedział w wykładanym mahoniem barze. W świetle przyściennych lamp koloru wina lśniło szkło, niklowe szczudła hockerów i twarze mężczyzn modelowane ugiem i cieniem jak indiańskie totemy.

Na podium znowu ta dziewczyna Alkora odprawiała swoje misterium. Poszedł za nią, kiedy odchodziła okryta peleryną, odsunął mężczyznę w srebrnym smokingu, który zabiegł mu drogę i wtargnął do garderoby, zanim striptizerka zdążyła zamknąć drzwi.

— Muszę zobaczyć się z Alkorem.

— Dlaczego przyszedł pan tutaj?

— Podał nazwę lokalu i imię pani, poza tym znam tylko adres w Młocinach, ale tam od dawna nikogo nie ma.

— Pan jest... stamtąd — odetchnęła pod tą swoją oponczką.

— Razem z Alkorem siedzieliśmy w więzieniu, jeśli to miała pani na myśli.

— Co on tutaj robi? — mężczyzna w srebrnym smokingu zajrzał bez pukania.

— Sprawa rodzinna — wyjaśniła dziewczyna.

— Do ubieralni gościom wstęp wzbroniony.

— Nie nudź, człowiek jest z drogi, lepiej powiedz oberstowi, aby przysłał kolację. Teraz idź stąd, chcemy porozmawiać.

— Dziękuję, już jadłem — powiedział Łukasz nie chcąc sprawiać kłopotu.

— Ale ja nie.

Po wyjściu srebrzystego przytknęła palec do ust i przystanęła wsparta o framugę.

— Lubi podsłuchiwać. Tu wszyscy chcą wszystko wiedzieć. Plotkarski światek, rozumiesz. Jak ci na imię, chyba mogę mówić do ciebie po imieniu?

— Łukasz.

— Łukasz. A więc, Łukaszu nie będziemy tutaj mówili o sprawach ważnych, tylko zjemy kolację, w domu nic nie mam poza puszkami. Zresztą, szczury wszystko wyjadają, umyślnie, żeby mi bardziej zatruć życie, jakby i bez nich nie było dość okropne. Pojedziemy do mnie, rozgościsz się, odpocznesz, napijemy się czegoś dobrego, mam schowaną wcale dobrą flaszkę — mówiła nerwowo, prędko, jakby w obawie, że nie zdąży wszystkiego powiedzieć.

Milczał. Zastanawiał się, co ona ma na myśli mówiąc o szcurach.

— Napijmy się, dobrze nam zrobi, jest tylko jedna szklanka, tyknij pierwszy, no, bez ceremonii, jesteś gościem — patrzyła, jak pije. Wyjęła z jego ręki puste szkło, naląła i wychyliła naparstek brandy.

Tu się zaczyna złudzenie, pomyślał patrząc na nagromadzone pod trójdzielnym lustrem słoje, puzdra, flakony i całą upiększającą technikę.

— Obsłuż się — dziewczyna przelknęła drugą porcję alkoholu i podsunęła butelkę — ja się tymczasem przebiorę. Weszła do kabiny z natryskiem, przenośnego urządzenia jakie, widać, ustawiono tu przystosowując pomieszczenie na garderobę. Zaszumiła prysznic, ściany z mrożonego szkła w niklowych ramach zamazywały kontur postaci.

Zapukano. Zawołała, ażeby otworzył. Uchylił drzwi i w progu przyjął tace z kolacją.

— To deputat Iwy, jedna dzisiejsza, druga jutrzejsza. Ja gościom nie podaję — podkuchenna nie przyjęła zapłaty, tylko próbowała zajrzeć do środka, ale Łukasz był za wysoki i zasłaniał sobą przejście, więc zadowolona się napiwkami i obejrzeniem sobie gościa striptizerki.

— Jedzmy póki gorące — Iwa wyszła zza parawanu w sukience z fabrycznie zmiętej tkaniny nazywanej gniciuchem. Zwyczajna dziewczyna.

Podobała się Łukaszowi.

— Idziemy — odsunęła talerz, skąd dziobnęła parę kęsów.

— Nic nie zjadłaś.

— O tej porze, w ogóle nie powinnam jeść.

Wyszli na parking przed hotelem, zapraszając do małego fiata trochę się zdziwiła, że Łukasz nie ma żadnego bagażu. Już się domyślił, brała go za Szambelana. Może Alkor nie podał jej ksywy, może niedokładnie opisał wygląd albo ona zdawała sobie sprawę, iż Łukasz nie jest siłaczem z celi, lecz chciał mieć przy sobie człowieka życzliwego Alkorowi.

Pustym miastem toczyli się ku Saskiej Kępie. Dziewczyna milczała, z każdym obrotem kół wzrastał jej niepokój.

— Czy jesteś odważny? — odezwała się wjeżdżając w mrok zadrzewionego zaułka.

— Czego się boisz?

— Wszystkiego.

Bramę otworzył i zamknął automat. Podjazd wiódł brzegiem posesji, poprzez gęste pnącza białiał dom, nad lukiem podcienia płonęła latarnia. Pomieszczenie dla aut pod stromym przedłużeniem dachu stanowiło z budynkiem architektoniczną całość. Wprowadziła wóz do garażu, koło podskoczyło na jakiejś przeszkodzie, cofnęła samochód, wysiadła.

— Cholera, znowu te buty! — kopnęła zgnieciony trzewik na grubej podoszwie z pociemniałego juchtu, aż poleciał pod przyścienny blat założony akcesoriami samochodowymi i legł obok gumiaków, sabotów, starych tramppek powleczonego szarym nalotem. Pogrzebała pośród nich. Z zakurzonego kalosza wydobyła flaszkę.

Pokój po pokoju obeszała dom, jakby się spodziewała kogoś zastać. Po upewnieniu się że nikogo nie ma, odżyła. Znow mówiła szybko, jakby wraz z tą masą słów pozbywała się napięcia.

— Tak się cieszę, nareszcie odpocznę, jutro mam wolny dzień, ugotuję obiad, prawdziwy domowy, jak w rodzinie, nie te wieczne frytki na wysłużonym tłuszczu, teraz do brandy otworzę pudełko z krabami, lubisz kraby? Głupie pytanie, nie musisz odpowiadać, co do nich wolisz: cytrynę, grzybki, majonez? Nigdy nikogo nie gościłam w tym domu, więzienie z kratami w kształcie śniegowych gwiazd. Przeczaszam, pewno chcesz

się umyć — wskazała łazienkę, zatroszczyła się o świeży ręcznik i płaszcz kąpielowy.

Gdy stamtąd wyszedł, wszędzie było ciemno. W wygaszonej kuchni nie pozostał ślad z przygotowań do jedzenia, tylko zza jednych uchylonych drzwi padała na hall stłumiona smuga światła.

Poszedł w tym kierunku, znalazł się w sypialni. Przypominała zdjęcia w zagranicznych magazynach. U wężłowia paliła się lampka pod abażurem barwy miodu, w jednym z dwóch łóżek, szerokich, niskich, białych jak z filmu o milionerach spała Iwa owinięta koldrą ze złocistego jedwabiu. Drugie, nakryte taką samą z odchylnym brzegiem zapraszało do pościeli. W kącie na stoliku z kółkami stała nie otworzona butelka wyciągnięta z zakurzonego gumiaka i ozdobiony plasterami pomidora skorupiak w kremowym sosie.

Łukasz przyjrzał się dziewczynie, udaje, czy naprawdę zasnęła? I dlaczego taka dosłowna, żadnych subtelności, bodaj pozorów gry. Nic. Flacha i łóżko. Zupełnie jakby to ona była mężczyzną. I ta nonszalancja, nie traci czasu. Śpi.

Salatkę z krabów umieścił w lodówce, obszedł wszystkie pomieszczenia i znowu zajrzał do Iwy. Nic się nie zmieniło. Uciekła w sen? Nie chciał zająć drugiego legowiska pod zachęcającą ułożoną koldrą. Czulby się śmiesznie i głupio układając w małżeńskim łóżu obok śpiącej na miejscu jej kochanka. To nawet nie kwestia zasad czy lojalności, tylko dobrego smaku. Nietaktowna. Trywalna. Dziwka! Rośla uraza do dziewczyny.

W ściennej szafie znalazł koc, z posłania zabrał poduszkę, wcale nie starał się zachowywać cicho, chciał ją obudzić. Bezskutecznie. Nic. Żadnego zainteresowania. Jakby nie był mężczyzną, tylko nie wiadomo czym. Lala malowana. Wściekły i zawiedziony zgasił światło i wyszedł.

Ulokował się na kanapie w salonie, rześrzył za książką, regał wbudowany w ścianę znajdował się po przeciwnej stronie. Nie chciało mu się wstawać, odruchowo sięgnął po album leżący na gzymsie kominka.

Na miękkiej okładce z zielonego aksamitu z wgnieceniem jakby śladem obcasa znajdował się stylizowany kwiat nasturcji wyhaftowany złotą nicią, motyw charakterystyczny dla secesji. Po bliższym przyjrzeniu się okazał się zręcznym naśladownictwem; szych artystycznie przygaszony, plusz artystycznie wyblakły, a wszystko razem, mimo pewnych uszkodzeń, zbyt nowe.

Pałac papierosa, bez zainteresowania przewra-

cał grube kartony z zastygłymi na rastrze okrucami życia Iwy. Żadnej innej twarzy czy sylwetki. Tylko ona.

Dobrnął do końca, chciał zapiąć klamrę zamykającą oprawę, księga wymknęła się z rąk. Upadła niefortunnie, zawadzając o metalową ramę ekranu z malowanego szkła zasłaniającego czeluść wystygłego kominka. Pękło osłabione, jak zdążył zauważyć w czasie oglądania, wiązanie grzbietu i wypadły niektóre karty. Przy rozsypce kilka zdjęć odkleilo się częściowo i odsłoniło ukryte pod nimi znaczki pocztowe w przejrzystych torebkach z cienkiego celofanu.

Łukasz nie należał do znawców, ale oswojony ze znaczkami od wczesnej młodości rozpoznał rzadkie okazy filatelistyczne. Przedstawiły dużą wartość. Jeżeli pod każdym zdjęciem spoczywały podobne, w albumie ukryto majątek.

Łukasz poszukał kleju, znalazł go w pokoju Alkora i przylepił oderwane odbitki. Odłożył na miejsce oprawy w plusz album i wyciągnął się na kanapie.

Nie czuł się senny, patrzył, jak za szybami powoli wylaniają się z popielatego mroku szare kontury drzew, podobnie jak przy wywoływaniu fotografii.

— Łukasz, obudź się, Łukasz.

Niezupełnie przytomny otworzył oczy, świadomość przywrócił widok dwuskrzydłowych drzwi podzielonych szczeblinami na kwadraty wypełnione szkłem, szczotki trawnika za nimi i forsycji przypominających zielone fontanny.

— Szczury przyszły — szepnęła pochylona Iwa.

— Jakie szczury?

— Mają pretensję do Alkora. Chcą pieniędzy. Wstań. Ratuj mnie. Nastrasż ich. Wyrzuć. Pomóż!

Zdążył usiąść i przeczesać palcami nastroszoną czuprynę, gdy w progu ukazał się Płowy i zamarł wpatrzony w Łukasza. Równie zaskoczony Łukasz gapił się na Płowego z podobnie głupią miną.

— Świat jest mały, Baktrianie — westchnął inżynier.

— Hef, chodź, przywitaj kolegę — usunął się z przejścia Płowy.

— A ten co tutaj robi? — wrósł w drzwi Hef.

— Właśnie. O co chodzi, panowie?

— Nie wiesz, ona nie powiedziała? Niemożliwe — ponuro łypnął Hef.

— Możesz nie wierzyć, twoja sprawa — ziewnął Łukasz.

— Ściągamy tak zwane zaszłości. Alkor jest coś winien współnikom, a ta Lala nie chce wyjawić, gdzie się dekuje kochaś ani gdzie trzyma cenneści lub papier. Lala jest nieużyta, chce wszystko dla siebie. Jeśli masz na nią wpływ, przetłumacz, a w ogóle kim jesteś, nowy narzeczony, czy adwokat Lali?

— Garowałem z Alkorem i przyszedłem zapytać, co słyhać — uśmiechnął się Łukasz.

— Na mój gust, ty jesteś ciut za mądry i za obrotny. Ja nie lubię takich ruchliwych Komputerów. Mnie się zaczyna wydawać, że depcesz nam po piętach, łazisz za nami, a może to czysty przypadek? My u Chrzestnej, ty u Chrzestnej, my tutaj, ty tutaj, tylko patrzeć, jak cię zaniesie do Blacharza, słyszałeś o takim?

— Słyszałem, ale do domu narzeczonej nie mam interesu — Łukasz pomyślał o Szambelanie, niechaj ten tandem możliwie najpóźniej skojarzy ich ze sobą.

— A tutaj będziesz?

— Będę.

— Jak długo?

— Aż doczekam się Alkora.

— Coś się tak zawzięł?

— Ja was nie pytałem.

— Sami powiedzieliśmy. Ale jeszcze coś dodam. Jak gość jest za wścibski nietrudno o wypadek przy pracy albo na ulicy, nawet w biały dzień, może nawet potknąć się na schodach. A jak będzie miał dużo szczęścia przeżyje, tylko co to za życie. Jesteś umysłowy, Komputer, więc dobrze przemóżgij, zanim zechcesz się do nas wtrącać.

— Mógłbym ci wygłosić Hef taką samą mowę, a może i lepszą. Tylko po co? Ja mam na liczniku pięć lat Jelców Olskich, jeśli nic ci nie mówią, toś wół. Ale posłuchaj, nie mam zamiaru tkać nosa w wasze sprawy, tylko zejdźcie mi sprzed oczu, póki tu jestem.

Płowy z Hefem spojrzeli po sobie.

— Zejść z oczu możemy, z posesji nie — powiedział Hef.

— Mamy drogi narządź, każda godzina kosztuje. Musimy naukowo zbadać habendę i ogród. Jeśli nie chcesz nas widzieć, wybierz sobie dowolny kąt na świeżym powietrzu, potem się zamienimy. Zaczynamy od salonu.

Płowy przestał podpierać framugę, przeszedł koło kominka, z umyślną nieuwagą strącił z gzymsu zieloną księgę, ze złośliwym roztargnieniem nastąpił na pluszową okładkę, spinająca ją klamra nie puściła.

— O pardon, Lala, nie chciałem sponiewierać pamiątki osobistej.

Nie odpowiedziała, wyjęła z jego rąk album i odłożyła wysoko na regał. Płowy sięgnął na półkę i umieścił przedmiot z powrotem na poprzednim miejscu.

Łukasz wstał i nie oglądając się wyszedł na dwór przez przeszklone ogrodowe drzwi.

— Nie zostawiaj mnie, proszę — dogoniła go dziewczyna. Dziwka, pomyślał, bardzo ładna dziwka. Odniosł wrażenie, że cała trójka odgrywa jakąś scenę na jego użytek. Nie miał zamiaru odejść właśnie teraz, nie chciał, żeby wyglądało na ucieczkę, nie chciał przed tą Lalą uchodzić za tchórza i mimo wszystko nie chciał się z nią rozstać, chociaż jej nie wierzył.

— Przynies koc i zawiadam, jak już sobie pójdą — ułożył się na leżaku.

Obudzili go tamci. Każdą piędź ziemi badali przyrządem do wykrywania metalu. Przeniósł się na drugi skraj posesji i spał w cieniu pergoli obrośniętej wistarią, dopóki nie odeszli.

— W co mnie wrabiasz, dziewczyno? I nie kłam. Inaczej będziesz musiała radzić sobie sama. Chociaż zdaje się, nie potrzebujesz pomocy. I nie patrz na mnie oczyma konającej łani. Słucham!

— Miałeś być przyjacielem Alkora, okazałeś się kumplem szcurów. Komu mam wierzyć.

— Nie na mnie czekałaś.

— Nie na ciebie. Na siłacza. Ale o tobie też Alkor wspominał, nazywał cię jak oni, Komputer.

Domyśliła się, że to on, a nie Szambelan, ale było jej wszystko jedno, byle życzliwy człowiek w pobliżu, byle nie wracać samej do domu, do przeklętej, cudzej habendy, którą ciągnęła na grzbiecie jak ślimak skorupę.

Nie orientuje się, na ile Alkor zaufał Łukaszo- wi, jej mówił niewiele, tylko o sprawach oczywistych albo koniecznych, lecz ona powtórzy wszystko, co wie. Otóż willa z urządzeniem i ogrodem należą do Alkora. Kiedyś kochała go, patrzyła na świat jego oczyma, najpierw z miłości, ostatnio ze strachu robiła wszystko, czego żądał. Teraz zależną od niego, obciążoną jego hipoteką, pozostawił na pastwę rozwścieczonych, oszukanych współników.

— I to jest dziwne. Mnie jak mnie, ale z pewnością nie porzuciłby domu. Obawiam się czegoś niedobrego.

Opowiedziała o znanych jej faktach nad Wielkim Jeziorem.

— Szykował się do wyjazdu na Zachód.

— Miał paszport?

— Nie wiem. W szczególności mnie nie wprowadził.

Łukasz coś o tym wiedział. Przyjeżdżał zamówiony przez kanał człowiek z zagranicy i przywoził gotowy dokument opiewający na takie obywatelstwo i narodowość, jakie klient obstałował.

— Myślał o erefenowskim, świetnie znał niemiecki. Powiedziałam mu o szwajcarskim kontrakcie, chociaż nic podobnego się nie kroilo, ale miałam dość Alkora i jego interesów. Chciałam, żeby coś zdecydował, kazał sprzedać willę lub już sama nie wiem co, byle się uwolnić.

Przyrzekł zaangażować Szambelana, ale dopiero po tym jak sam znajdzie się w Niemczech. Wówczas obiecywał powiadomić siłacza, aby stawił się u niej w Varsovii i przejął od niej opiekę nad posiadłością. Wcześniej nie zgodził się przekazać tamtemu adresu ani Iwie miejsca jego zamieszkania. Miała czekać, aż on wszystko zdalnie uruchomi, bezpieczny już, nie narażony na żadne niespodzianki. I dopiero po otrzymaniu od niego wiadomości, gdzie się urządził, mogła ruszyć mu na spotkanie, bo uwierzył w jej zagraniczną umowę.

— Nie dał znaku życia. Jedno jest pewne, coś się stało z jego kajakiem.

Opowiedziała o znalezieniu na brzegu łódki z emblematem augustowskiej przystani, którą miał utopić razem z ubraniami i dokumentami w pobliżu wyspy bobrów, a dopłynąć do brzegu czółnem Iwy.

Po powrocie z Melisy stwierdziła w domu ślady pobytu obcych. Nie, żeby zastała bałagan, nawet starali się odkładać rzeczy na dawne miejsce. Jednak czegoś pilnie szukano. Wtedy spostrzegła album walający się po ziemi z naderwanym grzbietem i świeżym odciskiem buta. Nie zrobił tego Alkor. Dlaczego? Nie wyrzuciłby go z szuflady, nie pozostawił na podłodze. Do tamtej pory księga nie leżała na gzymsie kominka. Ona, porządkując dom po nieproszonych gościach, tak ją w pośpiechu odłożyła i zapomniała. Później już nie mogła schować. Płowy zauważył znak obcasa na okładce i zaczął powtarzać przedstawienie, którego Łukasz był świadkiem. Teraz ona boi się ukryć pamiątkę, żeby nie sprowokować jej zupełnego zniszczenia.

Pamiątka! Pod fotografiami spoczywała ukradziona fortuna. Człowiek, który oddał za nią siedem lat życia wyjechał, nie wiadomo na jak

długo i pozostawił całą lokatę pod zdjęciami tej dziewczyny. Zastanawiające, pomyślał Łukasz, jednak nic nie powiedział.

— Ale on był tutaj po mistyfikacji nad Wielkim Jeziorem.

— Skąd taka pewność?

— Pozostawił buty.

Nie mógł się bez nich obejść, innych nie uznawał. Czyścił, glansował, niepokoił się, czy nie pękają przyszwę. Ciężkie, na grubej podeszwie z cholewą do pół łydki, dobre na zimę lub jesienne słoty. Uważał je także za najodpowiedniejsze na czerwcowe upały i nad Wielkie Jezioro. Zawsze był wrażliwy na modę, pobyt w Jelcach nie zmienił jego upodobań z wyjątkiem właśnie tych butów o fasonie przebrzmiałym od dobrych kilku lat.

Po powrocie z Melisy znalazła je w garażu rzucone między gumki, saboty i zdeptane trampy, służące do pracy w ogrodzie. Nie wziął też ze sobą niczego z dawnej garderoby, może nie chciał mieć zaprzeszłej odzieży z polskimi naszywkami firmowymi, ale i zagranicznej nie zabrał, nie tknął ni bielizny, ni drobiazgów, ni walizki czy plecaka. Nad Wielkie Jezioro wybrał się w komplecie z żaglowego płótna kupionym w dniu wyjścia z więzienia.

— On ma zamiar tu żyć, mimo wszystko?

— Sam nie wiedział, gdzie osiedzi. Zależy od warunków. Jeśli tam znajdzie dobrą pracę, pozostanie. Jeśli nie, powróci. Tu z kilkoma tysiącami dolarów przy cinkciarskiej relacji jest królem życia. Oczywiście jeśli zdecyduje się tutaj pozostać, będzie musiał zmienić adres, a może nawet i powierzchowność.

— Przebieranki?

— Operacja plastyczna.

— Po to pojechał do Niemiec.

— Nie mówił o swoich planach.

— Jakie walory wziął ze sobą?

— Nie wiem. O zasobach nigdy ze mną nie rozmawiał. Myślę jednak, że prócz domu niewiele mu pozostało. Dlatego tak się nad nim trząś.

— Ostatnia owieczka ubogiego — ona mówi o Alkorze w czasie przeszłym, z przykrością zarejestrował w myśli Łukasz.

— Tłusta owieczka.

— Jesteś zamożną kobietą.

— Tu nic do mnie nie należy. Tylko ubranie, trochę drobiazgów i album z moimi fotografiami — pogładziła pluszową okładkę.

— Prawie wszystko jest twoje. Formalnie on

stracił życie na Wielkim Jeziorze i jeśli nawet odnajdzie się człowiek z crefenowską, czy jaką tam, tożsamością, tutejszy obywatel Alkor nie będzie przez to bardziej żywy niż zdechły królik.

— Zapominasz o szczurach, ich nie nabral. Właściwie nie powinien tu nigdy wracać, oni mu niczego nie darują.

— Właśnie, szczury, jak ich nazywasz, nie żądają sprzedaży domu?

— To pierwsze co usłyszałam po powrocie z Melisy od damy z brylantowymi rautami w uszach. Mówiła do mnie, dziewczusko, i pewno myślała, że nigdy się nie dowiem, kim jest.

— A dowiedziałaś się?

— Nawet się nie starałam. Po kilku dniach przyszła do Varsovii z tymi samymi diamentami, z takim samym tyńkiem na twarzy i fryzurą, jakby na co dzień głowę przechowywała w pudełku. Lokalowa dziewczyna z arki Nocgo. Mnie nie było na świecie, Varsovia nie istniała, a ona już uprawiała rzemiosło w Polsce. Omotała jakiegoś pryka z adwokacką kancelarią i wycofała się na mocny grunt. Wyszła za męża. Kiedy owdowiała, powróciła na szlak ze zmienionym *emploi*. Kwatery dla cudzoziemców, waluta, handel. Zobaczyłam ją blisko podium, jadła, piła, śmiała się, aż jej było widać platynowe plomby, podniebienie i podszewkę żołądka. Myślała, że jej nie poznam.

— To dla niej bez znaczenia.

— Pewno masz rację — rozejrzała się wokół, jakby budziła się ze snu. — I tak nie ugotowałam obiadu, ale obiecuję kolację. Nie zostawiaj mnie samej, proszę.

— Muszę wyskoczyć za miasto. Nie przewidywałem, że prawie tu zamieszkam.

— Weź malca, szybciej wrócisz — podała kluczyki od samochodu.

Nie wiedziała, jak ułatwiła mu sytuację. Zanim wyprowadził auto, z garażu spośród starych chodaków zabrał parę juchtowych butów, w tym jeden z pękniętym napiętkiem zgniecionym przez koło.

W domu spod progu spojrzała ku niemu bezbrzeżnie smutna para oczu. W półmroku przedpokoju fluoryzowały zielono. Na widok Łukasza uniesiony łeb opadł na wyciągnięte łapy i tylko ledwo, ledwo poruszył się ogon.

— Tęskni do Szambelana. Jedyne pies i matka tak potrafią czekać — przywitała syna starsza pani. — Obralam go z pcheł, wykapałam i ostrzygłam. Jest taki zmartwiony, że nawet się nie sprzeciwiał. Szambelanowi posłałam w twoim

pokoju. Aha, dostałam od niego kindziuk, słyszałeś o takim specjale? Smakowicie wygląda i pięknie pachnie. Ze spróbowaniem czekamy na ciebie. Mam gotowe kotlety, tylko rzucić na patelnię, dostałam na kartki chiński schab. Drogi, ale wydajny. Usmażyć?

— Mhy! Nie. Tak. Później. Mamo, gdzie moje wysokie buty?

— Gdzie. W butonierce — tak nazywała żartobliwie właściwą szafkę.

— Prosiłam, żebyś ich nie, czyściła, to ja powinienem czyścić twoje — wyglansowane cholewki lśniły jak polerowana miedź.

— Powinieneś, ale nie dbasz nawet o własne.

— Mamo, bądź ostrożna. Nie otwieraj byle komu, tylko znajomym — nie słuchał już, co mówiła. Zbiegł po schodach i rozejrzył się po podwórzu, to był nieduży dom z lat trzydziestych ze starannie utrzymanym dziedzińcem pełnym krzewów i drzew. Wnuki sąsiadów bawiły się w drugim końcu. Wyprowadzając wóz z parkingu, przejechał jeden but.

— Dlaczego zrobiliś mu wypadek — nie wiadomo skąd, wyrósł malec, niemy świadek dziwnej operacji.

— Trenuję wyścig z przeszkodami — wyjaśnił tetlając w ziemi trzewiki. Nadal za mało przypominały tamte, zabrane z garażu.

Wrócił do mieszkania, zamknął się w łazience, oderwał podeszwy, krance, brandzle, pokroił przyszwę i futrówkę. Obejrzał swoje dzieło, w tym stanie mogły przedstawiać każdą parę byłego obuwia.

Zbliżał się wieczór.

Pojechał na Saską Kępe, odstawił samochód na miejsce, spreparowane strzępy rzucił pod przyścienny blat między pozostałe chodaki.

Iwa ustawiała przy dwóch nakryciach świece obsadzone w srebrne lichtarze. Od ogrodów ciągnęło wilgotnym chłodem, na kominku żarzyły się polana. Na gzymsie leżał zielony album w pluszowych okładkach ze stylizowanym kwiatem nasturcji haftowanym złotą nicią.

— Niestety, muszę wracać — powiedział unikając jej oczu. — I dobrze ci radzę, powiedz szczerom prawdę, a dadzą ci spokój.

— Nie rozumiem.

— Jeśli ja znam miejsce ukrycia łupu, ty z pewnością także się orientujesz.

— Nie wiem o czym i dlaczego tak do mnie mówisz — wyglądała niewidoczną zmarszczkę na obrusie, czuła za plecami bezbronność księgi

w zielonej oprawie i groźbę niejasnych zamiarów tego mężczyzny.

— Dobrze, powiem ci. Walory ukryte przez Alkora w obuwii, prawdopodobnie teraz razem z nim przemierzają chodniki jakiegoś niemieckiego miasta.

Podał jej kluczyki.

— Do zobaczenia — pożegnał ją nie wierząc w owo zobaczenie i odczuł żal po czymś, co się skończyło, zanim zdążyło się zacząć i gniewne zniecierpliwienie w przewidywaniu, że ona spróbuje go zatrzymać, a jemu będzie jeszcze trudniej odejść.

— Do zobaczenia — upokorzona nie poniżyła się już do żadnego: przyjdź, zostań, poczekaj.

Łukasz rozczarowany jej powściągliwością z niesmakiem do siebie, pretensją do nie wiadomo kogo i przekonaniem o przewrotności dziewczyny, udał się na postój taksówek.

Chrzestną zastał w domu.

— Gdyby nie monitor, pewno bym cię nie wpuściła. Nie rozpoznałam po głosie — powitała go Mecenasowa otoczona czterema dogami. Rauty w jej uszach wystrzeliły długie promienie.

Odkąd, kilka lat wstecz, wstrząsnęła handlową Warszawą wieść o zamordowaniu największej dostawczynie futer (została uduszona nylonową żyłką we własnym mieszkaniu przez kogoś komu sama otworzyła, Chrzestna wyposażyła swój dom w obronne psy i urządzenie przekazujące głos i obraz gościa stojącego za furką.

— Wyglądasz na przegranego, stało się coś?

— Stało. Twoje dwa Wielbłądy, co robią za poborców u striptizerki, byli współnikami złodzieja od Pewexów i samochodów. Dałaś się wpuścić w tunel strasząc dziewczynę z Varsovii.

— Skąd to wszystko wiesz?

— Miasto czarnego biznesu jest małe, szefowo.

— Kryminaliści? I ja nic o tym nie wiedziałam.

— Nie garowali.

— Padalce! Mówili, że jest ich dłużnikiem, winien im pieniądze.

— Poniekąd winien. Zamroził udział współników, zdaje się na wieczne nieoddanie.

— Przewidujesz kłopoty?

— Mogą się zdarzyć, jeżeli sprawa dotrze, gdzie nie trzeba.

— W naszym środowisku nie chodzi się na Glinowo.

— Ale Glinowo chodzi do środowiska. Zresztą, jak potraktujesz tamtych — twoja sprawa. Ja cię uprzedziłem.

— Dziękuję, Łukasz. Zachowam dyskrecję.
— Mnie nie zależy. Możesz się na mnie powołać.

— Chcesz, żeby oni wiedzieli?!

— Powtarzam, mnie to obojętne — miał się na baczności. — Poza tym rezygnuję z roboty, chociaż byłaś dobrą szefową, Chrzestna.

— Przestraszyło cię wydarzenie z rozbierajką? Przecież to drobiazg, rzecz niegroźna, a ona siedzi w niej z głową.

— Wracam do zawodu.

— Szkoda. Poczekaj chwilę — wyszła.

Dogi rządkiem usiadły pod progiem i wlepiły oczy w Łukasza. Kiedy wróciła Chrzestna, znowu złożyły się półkolem.

— Masz tutaj kaucję i niech ci się wiedzie — podsunęła pięć oliwkowych banknotów.

— Jeszcze jedno...

— Tak myślałam — westchnęła. — Nikt nigdy nie oddał mi przysługi za darmo, ile za twoją wiadomość? Tylko się nie ceń za wysoko, bo nie zapłacę.

— Dar za dar. Chcę wiedzieć, czy Alkor dostał dokument. Podobno przymierzał się do erefenu.

— Dobry certyfikat, marka jest silna. Po co ci taka wiadomość?

— Jest mi potrzebny.

— Tobie też?!

— Też. Mogłabyś poradzić fachowcom, że nie powinni pomagać. Zbyt wielu ludzi chce go mieć na miejscu, czasami należy się liczyć z opinią publiczną.

— Przecieniasz mnie chłopcze, nie znam wszystkich specjalistów od białka.

— Nie ma ich znowu tak wielu. Wystarczy przestrzec jednego. Stawiam na zdrowy instykt ludzi, których żywi ta sama profesja.

— Postaram się, niczego nie obiecuję.

— Dwa razy daje, kto szybko daje.

— Wpadnij rano. Wcześniej. Później będę zajęta.

Dochodziła północ, gdy dotarł do domu. Smutny pies warował nadal przy progu, matka spała. Zamknął się w swoim pokoju. Odsunął książki nadstawiające oswojone grzbiety, zza przyjaznych tomów wydobył juchtowe trzewiki zabrane z garażu na Saskiej Kępie.

Kanalny szewc w drugim roku pobytu pod celą, dotknięty ciężkim musem mówienia, opowiadał o swoim zawodzie i modach sprzyjającym potrze-

bom. Robił obuwie z doskonałych skór, naturalny surowiec oddycha, ukrytym w podeszwach zielonym nie zagrażało zbutwienie. Jednak takie spody klejone lub, coraz rzadziej, szyte miały jeden mankament. Aby z nich wy dostać utajoną pod brandzlem fortunę, trzeba je było zniszczyć.

Istniały także schowki nie wymagające cicia, rozdzierania czy prucia, szufladki w obcasach, zamaskowane kieszonki w przyszwach, cholewkach, noskach, pod futrówką, w ozdobnych stebnowaniach.

Owe sposoby kanalnego szewca nie były młodsze od granic, rogatek, myta. Skrytki stare jak komory celne. Preferował lokowanie na stałe, rzadko który celnik ściągnie komuś z nóg i pokroi buty, jeśli nie ma absolutnej pewności. Tylko nie należy ukrywać w nich złota. Stawały się podejrzanie ciężkie, poddane badaniu wykrywaczem metalu zdradzały obecność szlachetnego kruszcu.

Po rozczłonkowaniu juchtów walających się w garażu Alkora, grube podeszwy ujawniły trzy solitery, dwie cytrynki, beryl i kilka madisonów.

Głęboką nocą obudził Łukasza telefon. Dzwonił Szambelan od Iwy.

— Będę jutro po zwinięciu gospodarstwa — zawiadomił lakonicznie i odłożył słuchawkę. Trzymał pod pachą album zabrany z gzymsu kominka i perswadował dziewczynie:

— Nie rzucaj się Lala, pamiątka z twoimi podobiznami nie może tutaj zostać. Prawdziwy cud boski, że jej dotychczas nikt nie podgrandyził. Jeszcze będziesz mi wdzięczna, że nie musisz się łamać, bo samemu trudno oddać za bezdurno. Kradzione czy nie, człowiek się do dobra przywiązuje, a później tylko płama na życiorysie.

— Przecież to grabież!

— Złodziej złodziejowi złodziej, chciałaś powiedzieć. Nic się nie martw, dostaniesz pokwitowanie, chociaż między kumplami pisanie nie jest konieczne.

— Niechaj Bóg mnie strzeże od takich przyjaciół. Nie jesteś lepszy niż szczury. Czego jeszcze tu chcesz?!

— Maniorów! — to, czego szukał znalazł w pokoju Alkora. Schemat instalacji systemu zabezpieczającego budynek i bramę wjazdową. Leżał w kartonowej teście zawiązanej na tasemki z pedantycznie wypisanymi czarnym tuszem nazwami podobnych dokumentów. Zamknął szufladę. Nie mógł wziąć planu, dopóki dziewczyna patrzyła

mu na ręce. Musiał po niego wrócić bez jej wiedzy.

— Szkał.

— Przestań gadać, chcę obejrzeć całą habendę. Idziemy.

Już nic nie powiedziała, poszła przodem, prowadziła na górę, zapalała światło, otwierała schowki na strychu wyłożonym jasnym drewnem. Zeszła do piwnic połączonych z garażem drzwiami zaopatrzonymi jak wszystkie inne w elektroniczne zamki. Stamtąd powrócili do hallu, dziewczyna ominęła jakieś wejście.

— Co tutaj jest? — nacisnął kłamkę, nie ustąpiła.

— Garderoba.

— Otwórz.

W pomieszczeniu wyklejonym tapetą jak etui panował porządek i zapach środków owadobójczych. Rzędy niemodnych ubrań zwisały z drążka. Przejechał dłońmi po tym szpalerze, zakłósały się wieszaki, umknęły spod ręki puste rękawy, wiotkie poły, spięte nogawki.

— Boisz się! Żałuję, że nikt tu na ciebie nie zrobił zasadzki — powiedziała mściwie.

Ład burzyły puste półki ze szczeblami do przechowywania obuwia, a pod nimi sterta obrzynków. Napiętki, spody, zelówki, krance, brandzle, fleki.

— Kto przerobił skoki na dodatki szewskie?

— Któryś z was, nie wiem. Przecież tu ruch jak na skrzyżowaniu, jeśli nie szczury pewno ty, albo ten drugi.

— Ano pokaż ręce, bąble z czego, otarcia z czego, za jelopa mnie masz?

Milczała.

— Gadaj Lala pókim dobry. Szyjkę masz delikatną ani gwiakniesz, jak skręcę. Kto zrobił sałatkę z chodaków?

— Ja.

— A z tamtych w garażu?

— Komputer.

— Jaki Komputer?

— Przecież go znasz. Siedział razem z Alko-rem.

— Może z Alko-rem, ale nie ze mną. Nie znam żadnego Komputera, Lala! I radzę dobrze zapamiętać, jeśli nie chcesz nieszczęścia dla siebie. Czego szukałaś?

— Tego za czym wszyscy, wszyscy, wszyscy gonicie. Wrogowie, stara kurwa i fałszywi przyjaciele — krzyczała przez ły. — A tylko ja muszę się zabijać o ten przeklęty dom, tylko ja płacę

dekarzom, ślusarzom, hydraulikom i całej zgrai innych partaczy, z czego mam na to brać!

— Aleś durna razem ze swoim Komputerem. Butów z wartościami Alkor tu nie zostawił. On w nich wyjechał. Rozumiesz? Wyjechał. Oświeć szczury, jeśli jeszcze nie wiedzą.

— Sam ich oświecaj.

— Jeśli wolisz, żeby tu zapuścili korzenie, twoja sprawa.

Na Uliczkę powrócił nad ranem, położył się na trochę i zaraz zasnął. Potrafił spać w każdych okolicznościach, przez czas jaki sobie wyznaczył i obudzić się punktualnie, jakby w głowie nosił budzik.

— Czołgiem panowie, przyszedłem się pożegnać — zjawił się w warsztacie nieogolony z wychudzonym plecakiem.

— Aleś zmordowany — użalił się nad nim Hef.

— Życie.

— Coś się nie udało?

— Wyrolował mnie sysysyn dolony! Przyjeżdż, powiada, popilnujesz habendy, powiada, kurde, jakim go dorwał!

— A co tu jest do pilnowania — zaniepokoił się Blacharz.

— Nie przeszkadzaj majster — skarcił go Hef.

— Otrzymasz adres jednej rozbierajki z szolbizesnu, ona wszystko będzie wiedziała, co i jak ze mną się dzieje. Przez nią się skontaktujemy, bo przed kurwielami dolonymi muszę się dekować.

— Dał ci adres?!

— Zamknij się Hef. Pozwól jemu mówić — wtrącił się Blacharz.

— Dał, oszust dolony. Powiada, nadam cię do warsztatu gościa, co ma różne znajomości, przez niego gówniarkę tobie załatwię pierwsza klasa, facet łebski, bez tak zwanych zahamowań, prosperuje na pograniczu łapówki i kradzionych części z sektora prywatnego, przez niego kupisz najtaniej, ja zapłacę, a ty tylko pilnuj, powiada, mojego dobra.

— Tak mówił?

— Tak mówił.

— Mnie szkałował?! — chciał wiedzieć Blacharz.

— Nazwiskiem nie rzucił.

— Ale napuszczał cię na mnie?

— Wspominał tyle, że jesteście 'skłóceni na śmierć i życie.

— Raz w życiu sysysyn dolony powiedział prawdziwie.

— I wyfrunął sysysyn dolony, za granicę, jak

się to mówi: wolność wybrał, pieska jego niebieska, w azył dolona, pomarańczowa. A wiesz szef, gdzie trzymał oszczędności? Nigdy nie zgadniecie panowie! W butach. Skąd wiem? Przychodzę ja dowiedzieć się o Alkora u tej Lali z szolbiznesu, a ona powiada: szukaj wiatru w polu! Nie tylko z ciebie ciemnoto zrobił palanta, mnie też grosza nie zostawił, dolony. Był Komputer, powiada, co razem garowali, i on wszystkie buty pociął. Całą noc ciachał tylko nożyce szczękały, a jak nie chciały się wgrzyźć, bukszem czyli piłką do cicia metalu załatwiał. A mnie, powiada Lala, przygroził: siedź cicho, bo szyjkę skręcę ani gwiakniesz. To ja jej pytam, dlaczego pociął. A ona odpowiada, pieniędzy szukał. Kryminalista jeden. Obłowił się przyszedł, ale niczego nie znalazł, to zrobił się taki smutny, mało nie płakał. To ona do niego powiada: człowieku, już tu mądrzejsze od ciebie szukali i niczego nie trafili. Cały kryminal, powiada, z Jalców Olskich spotkanie sobie tutaj wyznaczył. Skaranie boskie, nerw już nie mam, powiada Lala, z myślami się biję, iść czy nie iść na emo. A frajerzy pojęć nie mogą, że on w butach miał wszystko, w butach co przez lata przeleżały na półce u klawiszy. Ja także, powiada, głupia byłam, kiedy on się z chodakami pod poduszką spać układał, myślałam, powiada, na umysł chłopy padło siedem lat puskowania.

W tym samym czasie Łukasz otrzymał wiadomość od Chrzestnej. Na kanale wciąż czekało białko, z góry opłacone zamówienie Alkora. Dotychczas klient nie dał znaku życia. Na jakie nazwisko? Takich szczegółów nie zdradzi nikt z branży, jeśli nawet dokument nigdy nie zostanie odebrany.

11

Nie wiedziała, co ją tak wcześniej obudziło, nawet nie szelest, tylko jakiś niepokój. Coś działo się pod podłogą. Jeszcze rozespana weszła do kuchni, dopiero usłyszała monotony szmer. Niósł się z dołu. Zbiegła do suterenu.

W piwnicy bulgotała woda. Sączyła się przez próg przejścia łączącego garaż z najniżej usytu-

wanymi pomieszczeniami, sięgała już do połowy kół samochodu i chociaż nieznacznie, wciąż jej przybawało. Dziewczyna zamknęła dopływ, uruchomiła automat otwierający wrota i wyprowadziła auto.

Była niedziela.

Musiała znaleźć pomoc. Gdzie zatelefonować? Znajomy hydraulik z pewnością wyjechał za miasto. Może do pogotowia sieci? Zapłaci duży rachunek. Posiadłość jak moloch pożerała zasoby. Zrezygnowana powlokła się stopień po stopniu na górę. W kuchni siedzieli oni. Popijali przyniesione ze sobą piwo, resztę butelek Płowy chował w lodówce.

— Co się stało, Lala? — zapytał Hef.

— Przystań nazywać mnie Lala! — było jej wszystko jedno, tak bardzo wszystko jedno, że zupełnie przestała się bać. — Co się stało! Zalewa sutereny. Zróbcie coś, skoro was znowu przyniosło.

— Czemu nie, możemy spróbować — zgodził się Hef. — Nam też zależy, aby dom nie zgnął, grzybem nie porośł.

Zeszła z nimi na dół.

— A to co? — Hef wyłowił kawał przyszwę. Na nieruchomej gładzi unosiły się strzępki napiętków, futrówki, wypreparowanych obcasów. — Skąd tyle zniszczonych butów?!

— Z szatni Alkora, wyniosłam je tutaj na wypadek, gdybyście, jak jego przyjaciele, chcieli zbadać, co mają w środku.

— Nigdy nie udawaliśmy jego przyjaciół — obruszył się Płowy.

— Posłuchaj opowiadki o wróblu. Ptaszek zmarł, aż spadł z gałęzi, ale przechodząc, nie chcący narobiło na niego bydlę. Wróbel odtajął w ciepłe krowiaka, otrząsnął się, wystawił łebek i zaczął ćwierkać. Przebiegał właśnie lis i zeżał ptaka. A morał z tego taki: nie każdy jest wrogiem, kto na ciebie narobi, nie każdy przyjacielem, co cię z gówna wyciągnie, a jeśli już w nim tkwisz, nie ćwierkaj. To tekst na twój użytek, dziewczyno. Nie jesteście przyjaciółmi, ale niczego ci nie zniszczyliśmy — powiedział Hef.

— Robimy czy gadamy, Hef.

Otworzyli zawór, kazali jej zrobić zapas wody, oczyścili studzienkę odpływową, osuszyli piwnicę i pomieszczenie dla samochodów, obejrzel mokre wnętrza. Uszkodzenie, ich zdaniem, okazało się poważne. Potrzebowali narzędzi i schematu instalacji wodociągowej.

Po plan sięgnęła do właściwej teczki z wypisa-

nymi na okładce rodzajami ponumerowanych dokumentów, o resztę zatroszczył się Płowy. Wykopali z Hefem dziurę w trawniku na tyłach garażu, w środku odkuli kawałek podłogi, z pękniętej rury ciekło, ziemia ciemniała od wilgoci.

— Wysiadł przewód doprowadzający — orzekł Hef.

— Dacie radę? — martwiła się dziewczyna widząc strumyczek opływający jej saboty.

Dadzą. Właśnie znaleźli uszkodzenie, trzeba usunąć jeszcze trochę posadzki, wymienić skorodowany odcinek, dać nowe pierścienie i kształtki. Będzie potrzebny cement i piasek. Nie ma takich rzeczy? Niedobrze. Naprawa się przeciągnie, Płowy musi szukać materiałów, co nie jest łatwe przy świątecznym dniu.

Ugotowała im obiad. Naszykowała zimną kolację. I już powinna zabierać się z domu. Ładnie z jej strony, pomyślała nawet o wieczornym posiłku dla nich. Niechaj spokojnie uda się do pracy i tak nic nie mogłaby pomóc. I jeszcze jedno, o awarii ma powiadomić sąsiadów. Jeśliby reparacja przeciągnęła się do nocy, lepiej, aby ludzie wiedzieli, że to nie włamanie, tylko pilna robota.

— Odjechała — raportował Płowy i sprowadził do garażu samochód zaparkowany dotychczas kilka przecznic dalej, wyładował worki z kruszywem i babę do prucia twardego podłoża. Zawarli wrota i zablokowali uruchamiający je automat. Hef obszedł posiadłość, sprawdził zamknięcie bramy, domu i zabezpieczenie przejścia łączącego garaż z suterrenami.

— Uwierzyła w zalew — odetchnął Płowy.

— Trudno wątpić, gdy sika woda, ale zupełnie niepotrzebnie tak bardzo uszkodziłeś zawór, kogoś znającego zastanowiłaby ta powódź.

— Ona nie jest znająca. Tak czy inaczej, udało się.

— Powiesz, jak stąd... — ostatnie słowo utonęło w jęzgotcie świdra kruszącego caliznę. Już nie rozmawiali, pracowali w milczeniu. Hałas pochłonął cichy odgłos wyłączającej się blokady przy drzwiach oddzielających garaż od najniższej kondygnacji budynku, którą wiodła droga do części mieszkalnej.

Nareszcie ustał świst baby, w uszach dzwoniło. Odgarnęli bryły cementu. W pionowej wąskiej jamie z każdą szuflą piasku odsłaniał się podobny do mumii kokon, spowity w nieprzejrzysty plastik, omotany taśmą. Wreszcie wydobyli ludzki kształt i założyli gumowe rękawice.

— Tnij — Hef podetknął tamtemu nożyce.

— Nie mogę — otrząsnął się Płowy.

— Zadusić mogłeś? Tnij, gnoju dolony.

— Nie chciałem zadusić, tylko za mocno zaciągnąłem pętlę. Kto znał, jak działa? Widziałeś, sam wymyśliłeś garotę, ja nawet nie słyszałem o takim sposobie.

— Eeech ty, kanapowy urka — Hef ciął plastik wokół zwięzającego się końca pakunku. Szarpnął oddzielony stożek złożony z kilku warstw zmatowiałej folii, odsłaniając nicobute nogi.

Usłyszeli ciszę. Straszna ciszę, żaden z nich nie znajdował słowa, aby ją rozproszyć. Powodowani niepojętym musiem wpatrywali się w bose stopy i nie mogli uwierzyć, że zwłoki zakopali bez butów.

Niemożliwe!

Nadal nie pamiętali, chociaż ściągnęli mu trzewiki, kiedy jeszcze żył i zbadali, czy czegoś w nich nie ukrywa. Niczego nie znaleźli, cisnęli w ką. Grozili: już nigdy nie będziesz potrzebował żadnych chodaków. W tamtej chwili jeszcze sami nie wiedzieli, jak niewiele dzieliło ich groźbę od faktu.

Stało się. Płowy za mocno i chyba za długo przytrzymał ułomek kija ściągającego sznur na szyi Alkora. Przerażeni zadaną śmiercią, zajęci zacieraniem śladów, zapomnieli o odrzuconym obuwiu tak dokładnie, jakby ich wspomnienia były taśmą, z której wymazano zapis magnetofonowy.

Płowy uważał na dom, aby przypilnować dziewczynę, gdyby wcześniej powróciła z Melisy. Hef starał się o folię, narzędzia i cement. I tylko oczekiwanie i tylko szalony pośpiech przy kruszeniu betonu, wykopywaniu ziemi, zalewaniu trupa płynną masą, przystosowywaniu koloru łąty do barwy podłogi, pozostały w pamięci. Tym łatwiej uwierzyli w przewrotnie podsuniętą wiadomość o butach, w których Alkor ukrył łup.

Trwali obezwładnieni klęską, niezdolni się pozbierać, gdy otworzyły się drzwi od suterreny.

Jak przez odwróconą lornetkę Hef zobaczył Szambelana z Komputerem działających ramię w ramię i nawet nie chciało się Hefowi zdziwić, dlaczego Szambelan nie wyjechał i nie chciało zastanowić, skąd między nimi takie przymierze. Apatyczny i nagle bardzo zmęczony bez protestu dał sobie skrępować ręce i ten przymus przywołał na myśl podobną scenę, jak niedawno on z Płowym zakładali tamtemu pętlę na szyję i przywiązywali go do krzesła.

Teraz słyszał i nie słyszał przekleństw wspólni-

ka i krótką szamotaninę zanim Szambelan nie rzucił na ziemię Płowego. Pomyślał tylko, bardzo silny ten wsioch, wiedziałem to od pierwszego dnia, ale jaki zmyłkowy.

„Podzielimy się” już nie bluzgał Płowy. „Czym” roześmiał się Szambelan, „niczego do działu nie ma, powiem ci, żebyś się w dupę ugryzł z żalości, to, czegoście szukali, leżało pod nosem. Znaczki pocztowe pod fotografiami w pluszowym albumie i walory w butach, teraz wszystko jest w banku, a kwit dostanie Lala, żeby jej łatwiej poszło tłumaczenie przed prokuratorem”.

„Więc na co czekacie śmierzdziele, donosy, kapety dolone!” zawył Płowy. „Na Lałę czekamy, musi, sobie poprawić opinię, nie chcemy, żeby nas razem z wami brała za jedną nawojkę”.

Do Hefa wszystko docierało jak z odległości.

Chcieli tylko odzyskać należną im część zdobyczy, leniwie pomyślał ktoś inny w Hefie za Hefa. I ten obcy, w jego pozbawionej czucia powłoce, nie umiał przejąć się bezpowrotnie straconymi pieniędzmi ani przypomnieć smaku oczekiwania, od chwili kiedy dziewczyna Płowego przezywana Kukulka dała im namiar na striptizerkę z Varsovi, nawet obraz nocy z blisko zawieszonym księżycem w nieustannym grzmocie Wielkiego Jeziora jawił się jak sekwencja z dawno widzianego filmu. Schowani za trzcinami śledzili poczynania

Alkora, pewni, że wybrał ten wściekły czas, aby wydobyć z ukrycia łup i właśnie po niego płynął.

Nie pamiętał i nie usiłował przypomnieć sobie napięcia, z jakim zaczajeni wraz z Płowym na leśnym dukcie zaskoczyli Alkora, powalili i związanego przywieźli w kufrze samochodu do jego domu, gdzie owa pewność powzięta nad brzegiem spienionej wody przemieniona w zawód sprawiła, że wszystko wymknęło im się spod kontroli i dokonało nie tak, jak zamierzali. Ale nie chciało się Hefowi nawet poszukać w sobie złości na winnego. Trwał w jakimś obezwładnieniu, niezdolny niczego odczuć, niczym się przejąć, niczego chcieć.

Tak samo bez wrażenia przyjął wiadomość o powrocie Iwy, jej krzyk i płacz i interwencję Łukasza, rozgniewanego na Konia znanego Hefowi z widzenia, za to że wpuścił dziewczynę do garażu, zamiast od razu zaprowadzić do domu. I zupełnie go nie obchodziło, że znowu czekają teraz na Komputera, który gdzieś tam w mieszkaniu, coś tam dziewczynie wyjaśniał, z czegoś się tłumaczył, za coś przeproszał. Hef znajdował się poza czasem i poza jakimkolwiek doznaniem, nawet poza strachem. Z taką samą obojętnością przyjął ponowne pojawienie się Łukasza i nie zastanawiał się, jak długo go nie było i podobnie nie obeszły go jego słowa:

— Szambelan, idę telefonować na milicję.

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 0



W latach 1980-1987 w serii „Ewa wzywa 07” ukazały się następujące pozycje:

- 113 Jerzy Romuald Młucz — Wizyta u zmarłej
- 114 Barbara Gordon — Dolina nocy
- 115 Tadeusz Lembowicz — Śmierć pod Obłową
- 116 Zygmunt Zeydler Zborowski — Śmierć grabarza
- 117 Tadeusz Zobierowicz — Od zmroku do zmroku
- 118 Kazimierz Tkacz — Nikt nie zabił ofiary
- 119 Aleksander Gabrusiewicz — Kwadratura trójkąta
- 120 Maciej Zenon Bordowicz — Jeździec na ogniu
- 121 Stanisław Heliński — Anonim
- 122 Jerzy Edgcy — Śladem papierosów „Maracho”
- 123 Andrzej Dzierawiec — Debiut
- 124 Marianna Szymusiak — Milionerka
- 125 Jerzy Siewierski — Opowieść o duchach i gorącym sercu
- 126 Andrzej Dzierawiec — Inny czas
- 127 Zofia Kaczorowska — Szmaragd dla Agaty
- 128 Barbara Gordon — Błąd porucznika Kwaśniaka
- 129 Albert Wojt — Pan dyrektor jest zajęty
- 130 Wojciech Wiktorowski — Na skraju nizu
- 131 Danuta Frey — Fiat z placu Teatralnego
- 132 Zygmunt Janer — Dzień szósty
- 133 Jerzy Kulczyński — Labirynt
- 134 Andrzej Kakaet — Silniejszy niż śmierć
- 135 Zofia Kaczorowska — Podróż w żalobie
- 136 Wojciech Wiktorowski — Akcja mleczna
- 137 Albert Wojt — Wyrok
- 138 Danuta Frey — Dama ze strusim piórem
- 139 Wojciech Piotr Kwiatek — Za żadne pieniądze
- 140 Zofia Krajewska-Seukabka, Zygmunt Bohdanowicz — Bezpieczny świadek (I nagroda w konkursie P.W. „Iskry” na opowiadanie sensacyjne)
- 141 Andrzej Strzelezyk — Skok (II nagroda w konkursie P.W. „Iskry” na opowiadanie sensacyjne)
- 142 Anatol Ulman — Polujący z brzytwą (III nagroda w konkursie P.W. „Iskry” na opowiadanie sensacyjne)
- 143 Danuta Frey — Zabawa w chowanego

ISBN 83-207-1122-3

Cena zł 150.—